Nr. 8. Warszawa, dnia 23 (11) Lutego 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WYPRAWA NA MADAGASKAR.

Po bezskutecznej misyi p. Le Myre de Vilers, w październiku 1894 r. rząd francuski postanowił zrobić wyprawę zbrojną na howasów. Izby dały mu 15,000 wojska i 65 milionów franków jako *maximum* potrzebnego kredytu. Wojsko to już odpływać zaczęło, a franki płyną już od jesieni z kasy państwa na różne roboty i zakupy, dłuższego wymagające czasu. Wyprawa będzie bardzo żmudną, trudną i kosztowną, gdyż żołnierz francuzki musi być zarazem i kolonizatorem i przedsiębiorcą budowy dróg, szpitali, magazynów, blokhauzów; musi ze sobą przywieźć muły, których na Madagaskarze niema; musi całe kompanie robocze przy sobie trzymać i podczas robót je osłaniać; musi wreszcie mieć z większą, niżby tego wymagała wojna w Europie, starannością i nakładem urządzoną, służbę szpitalną, żywić się i odziewać lepiej, z większą wybrednością, jaką narzuca sam klimat, wielce kapryśny, niejednostajny, na lesistych nizinach przybrzeżnych inny, niż na płaskowzgórzu w środku wyspy. A wyspa ta jest większą od Francyi; ma półczwarta miliona ludności; w części północnej, gdzie rozpościera się państwo howajów, dużo dobrego żywiołu wojennego, dużo przywiązania do własnych ognisk, ochronnej nienawiści ku cudzoziemcom i wstrętu od obcej przemocy.

Wylądowywanie wojska odbywać się będzie w Madżundze (Madżanga, zwykle pisano „Majunga") na północo-zachodzie. Miejscowość tę zawczasu już zajęła marynarka francuzka, podobnież jak i Tamatawę z okolicą na wybrzeżu wschodniem, gdzie francuzi mieli dotychczas tylko przystań i komorę. Blokada wyspy od początku zimy tamowała dowóz broni i amunicyi. W końcu marca mała armia francuzka, zaopatrzona we wszystko, czego nawet największa wymagać-by dla siebie mogła, powinnaby już stać na lądzie Madagaskaru. Ustają wtedy deszcze i może się rozpocząć pochód. Będzie on bardzo powolnym; specyaliści, ale przytem i pesymiści, pozwalają tylko na 5 kilometrów dziennie. Od Madżungi do Antananarywo, dokąd wyprawa dotrzeć musi, aby stolicą owładnąć i z niej podyktować howajom prawa, jest 450 kilometrów, o 100 więcej, niżby było z Tamatawy, ale drogę tutaj budować łatwiej i powierzchnia kraju i klimat przyjaźniejszy. W pochodzie swoim mogą się francuzi spodziewać tylko wojny podjazdowej; zbitemi masami wystąpią howaje dopiero w głębi wyspy, gdzie mają największe zaludnienie i największe skupienie społeczne i polityczne. Siły ich zbrojne wynoszą 40,000 ludzi; ale z tego połowa tylko zorganizowaną jest po europejsku.

Francuzi wysyłają żołnierza zaprawionego już do życia i walki w krainach i klimatach południowych: biorą go z Algeryi, z legii cudzoziemskiej, żuawów, spahów, biorą z Senegalu, ze słynnych strzelców; będą mieli i wojsko z Réunion (Bourbon); dbała o całość armii komisya Izby nie pozwoliła poprzedniemu ministrowi, gen. Mercier, ruszyć ani jednego żołnierza z osiemnastu korpusów, stojących we Francyi. Dobór wojska jest roztropnym; wiele obiecują sobie i po wyborze dowodzącego. Jest nim gen. Duchesne, który wiele lat spędził w Afryce i umie sobie z nią radzić. Największą wątpliwość co do powodzenia wzbudza to, że zanim mała armia dotrze do Antananarywo, już do połowy stopnieje: drugą połowę pochłonie wojenna straż drogi, obsadzenie punktów strategicznie ważnych i pozostawienie rezerwy na wszelkie przypadki. Trzeba też pamiętać i o gospodarce śmierci. Na widowni właściwej wojny zastaną francuzi, prócz owych 40,000 wojska, 200 działami obwarowaną, na górze położoną stolicę i jej cytadelę, a naokoło niej liczne forty, wprawdzie nie po europejsku zbudowane i do obrony przygotowane, ale w całości przeszkód, jakie napotka na swej drodze sztab francuski, stanowiących pozycyę, której lekceważyć nie wolno.

Ostatecznie przecież, większe czy mniejsze, przeciwności żołnierz francuski pokona, a nie pokona on, to się z niemi upora wielkie państwo francuskie. Powalenie rządu królowej Ranowalony i jej narodu—o ileby go ściśle do samych howajów ograniczyć, nie liczącego więcej nad jeden milion—można już za pewnik uważać. Co dalej? Czy przywrócenie mocy traktatowi z r. 1885, czy zawarcie nowego, któryby sięgnął głębiej w udzielność wyspy, niż ultimatum p. Le Myre de Vilers? Dziś Francya ma prawnie nad Madagaskarem protektorat, uznany przez Anglię w r. 1890, w zamian za protektorat zanzibarski; ma pod bezpośrednią swą władzą Diego Suarez w północnym rogu wyspy; ma Tamatawę na wschodzie i Bali-Magubi na zachodzie; czy jej to wszystko wystarczy, choćby zyskała nowe rękojmie, ale nie posunęła się poza protektorat? Stanowczo—nie. Wyprawa obecna rozpoczyna podbój wyspy, na której stopa francuska jeszcze w r. 1641—2 pierwszy raz stanęła. Nie tylko rząd po pochyłości stopniowych zdobyczy, osiąganych w wyprawie, stoczyć się będzie musiał w tę żądzę pochłonięcia Madagaskaru, ale i sam naród. Już w r. 1884, kiedy występowano tylko w obronie traktatów 1840 i 1868 r., cała Izba deputowanych na wskroś zjednaną była dla zupełnego podboju i tylko Ferry, mający wówczas swój Tonkin, przykładał lód na rozpaloną głowę reprezentacyi narodowej.

Anglicy, mający na wyspie wielkie misye religijne kongregacyonistów i metodystów, kopalnie i plantacye—wiedzą co ich czeka. W Shefield, na bankiecie nożowników d. 25 października 1894 r. lord Rosebery przyznał, że Albion musi się „dopasować" do traktatu, zapewniającego

Francyi protektorat; dopasuje się i do traktatu, zapewniającego polityczną własność; dopasuje się do wszystkiego, co w razie niedopasowania wymagałoby wojny. I Karol Dilke, radykalny niegdyś polityk, a obecnie pisarz polityczny, nie wątpi już chyba w tej chwili, że Francya istotnie dopuści się tej niesprawiedliwości względem wybornego ludu —howajów— przed którą kilka miesięcy temu, w artykule „Matin" ostrzegał ją i tylko w głębi serca żałować będzie, że niesprawiedliwość owa nie przez Anglię się spełni.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wei-hai-wei objęli japończycy w posiadanie dopiero 13 b. m. wieczorem. Poprzedniego dnia admirał chiński, Tsing, miał jeszcze czas przysłać parlamentarza, aby poddać okręty. Wkrótce potem pochwycił go strach przed hańbą i śmiercią urzędową i do samobójstwa popchnął. Kapitulacyę podpisał już kto inny, jakiś europejczyk; objęto nią i porty wyspy Liu-ki(u)ng-tao. Układy o pokój mają teraz lepsze widoki. Cesarz przywrócił Li-hung-czangowi pawie pióro, guzik pierwszej klasy u czapki i kaftan zaszczytny — i upoważnił go do traktowania. Ze względu na wiek pełnomocnika prosi też cesarz mikada, czyby nie raczył swoich umocowanych przysłać do Port-Arthur, aby dalekiej drogi oszczędzić człowiekowi sędziwemu, który już za powstania Taipingów był jednym z najwyższych generałów i mandarynów. W Mandżuryi, gdzie Nodsu roztropnie się okopał, nie mając sił dostatecznych do pochodu, zwłaszcza w zimie, chińczycy natarli na jego pozycyę pod Fu-czengiem, ale odparci, ataku już nie ponowili.

Ze spraw europejskich najważniejszem jest odnowienie przymierza potrójnego — najważniejszem dla gabinetów, jeśli nie dyplomatycznych, to redaktorskich. Od początku lutego zajmują się dzienniki wrzekomymi zjazdami kanclerzy i przewidywaniami mniejszej lub większej gotowości do przedłużenia stosunku, zabezpieczającego Europę od wybuchu. Najbardziej znamienną jest korespondencya *Kreuz Zeitung*. Zmieniły się warunki — pisze jakiś wysoko stojący korespondent.— Im głębiej wszczepiały się zasady pokojowe przymierza, tem ono samo stawało się mniej potrzebnem. Rosya nie ma ochoty wchodzić w ścisły, w dyplomatyczną już formę ujęty, stosunek z Francyą; ma zatargi z Anglią już obecnie i przewiduje nowe na przyszłość; Włochy także nieprzyjaźnie przeciwko misyi etyopskiej występują; nie chcąc być tedy odosobnioną, skłonną byłaby do odnowienia przymierza trójcesarskiego. Rzecz prosta, że sprawa pokoju jeszcze-by na tem wygrać musiała. Taki układ stosunków jest dziś prawdopodobniejszym, niż zabieganie o wskrzeszenie przyjaźni niemiecko-austryacko-włoskiej pod postacią przymierza, które upływa zresztą dopiero w r. 1897; do przedłużenia go zatem rządy interesowane mają jeszcze dość czasu. *Hamburgischer Correspondent*, za Capriviego organ kanclerza jako ministra spraw zagranicznych, uważa pogłoski o odnowieniu za tendencyjne, a oba przymierza za zupełnie zgodne ze sobą i zdolne do równoległego istnienia.

Gabinet angielski się chwieje. Większość 12 głosów nie daje mu już parlamentarnie silnej podstawy; obecsowość Irlandczyków go zniechęca; wybór zachowawcy w miejsce Churchilla nie dodaje mu odwagi; gmatwają się przytem sprawy zagraniczne. Po radzie gabinetowej, d. 19 b. m. udał się Rosebery do Windsoru, aby przedstawić położenie. W Izbie Gmin tegoż dnia jeszcze trwały rozprawy nad adresem; zaledwie 14 głosami zamknął rząd usta Chamberlainowi z opozycyi. Irlandczycy zażądali podczas rozpraw najpierw amnestyi zupełnej, a potem przejrzenia wyroków kryminalnych na tle agrarnem. Izba oba żądania odrzuciła; nawet Sexton, irlandczyk, uważał żądanie amnestyi za przedwczesne. W Irlandyi powieszono mordercę jednego z dzierżawców, niestosujących się do prawa *boycottu*.—D. 13 b. m. Izba Gmin uchwaliła komisyę do zbadania losu robotników, który ma być niezwykle ciężkim.

W Egipcie występuje wrzenie narodowe; opieka angielska wraz z angielską cywilizacyą i państwowością, cięży krajowcom. Z Cypru wysłano już batalion—na początek. Rząd angielski myśleć ma jakoby o abdykacyi Abbasa. Młody, zdolny a ambitny chedyw nie może być dla niego dogodnym. Dzienniki podejrzewają i rękę francuską.

Oba sejmy berlińskie nie próżnują i powydawały liczne uchwały. D. 13 b. m. sejm cesarstwa nadspodziewanie przyjął do drugiego odczytania wniosek Auera, Pachnickego i Anckera o obowiązkowym konstytucyonalizmie w państwach rzeszy i wniosek alzatczyków o zniesienie t. z. „Dictatur-Paragraph." Dep. Köbly zażądał dla szkół ludowych wykładu w języku ojczystym uczącej się dziatwy. D. 16 b. m. uchwalił sejm rezolucyę bimetalistów Kardorffa i Friedberga, wzywającą rząd do zwołania komisyi, którąby rozpatrzyła możliwość przywrócenia obiegu srebra. Po odrzuceniu przez komisyę sejmową wniosku Levetzowa widoki powodzenia ma obecnie propozycya Roerena z Centrum, wzmacniająca prawa prezydenta nad deputowanymi i wprowadzająca zaczątki prawodawstwa dyscyplinarno-karnego—przeciw zbyt wybujałym temperamentom.

W pruskiej Izbie deputowanych toczą się rozprawy nad budżetem. Przy wydziale sprawiedliwości d. 14 b. m. uskarżano się na brak dobrych tłomaczów i arbitalność sędziów w postępowaniu sądowem z tłómaczami w prowincyach wschodnich. Dep. Mizerski przypomniał przyrzeczenia patentu okupacyjnego. Deputowany Dziorobek zażądał podwyższenia płacy tłomaczy. O. Vierhaus, radzca ministeryalny, usprawiedliwiał zaniedbanie na Szlązku—odmiennością dyalektu miejscowego. Okazało się, że za tłomacza dla ludu szlązkiego wzięto—czecha, w innem miejscu — morawiaka. Minister Schönstedt przyrzekł ostatecznie poprawę.

W obu sejmach, obradujących w Berlinie, głośne rozległy się w tych czasach skargi na niemiecki „Verein zur Förderung des Deutschthums." którego sprawę poruszono w Izbie deputowanych jeszcze dnia 23-go stycznia; zajmowano się dnia 6 b. m. Wolnomyślny Richter przyznał wówczas, że istotnie „Verein" dopuszcza się nadużyć. Ale rząd i tego niemieckiego głosu nie wziął do serca; dnia 15-go b. m. minister Köller twierdził, że nietylko związek ów ma cele godziwe, ale obowiązkiem każdego niemca na kresach wschodnich jest popieranie jego dążności. Projekt komisyi generalnej dla Prus wschodnich przeszedł już w Izbie deputowanych przez drugie czytanie. Jak wiadomo, jest to nowa komisya kolonizacyjna. Rząd od kolonizacyi usuwać będzie polaków, a o ile możności — i katolików.

Ruch bimetalistyczny w Europie całej zaczyna się szerzyć, przychodząc z pomocą rzeczywistą bimetalistom amerykańskim, a z nadzieją pomocy dla agraryuszów europejskich i samego, słusznie dopominającego się ulg i podniet, rolnictwa. D. 19

---

8)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ALRUN.

Jedna z kobiet.

Miłosierdzia, wodzu, pozwól przynajmniej czemskolwiek odpędzić głód od dzieci, który je zabija.

Alrun.

Będą mu wdzięczne zwierzęta na ziemi, a ryby w wodzie, bo dostaną żeru.

Druga kobieta.

Wysłuchaj ich płaczu!

Alrun.

Płaczą? Gdy człowiek zbyt się skarży, bogowie go obalają i zasypują mu gębę piaskiem. Tak i wy zróbcie z dziećmi.

Trzecia kobieta.

Niech żyją, kiedy urodzone!

Alrun.

A niech żyją.

Czwarta kobieta.

Za co ich karzesz, kiedy ci nic nie zawiniły!

Alrun.

Milczeć, sowy! Czy my wyprawialiśmy gońców do nieba, ażeby nam przysyłało dzieci? Czy prosiliśmy was, ażebyście je rodziły? Wyrzuciłyście je z siebie, połknijcie je nazad. A teraz precz! Towarzyszo, jutro po raz ostatni słońce patrzeć będzie na wasz głód. Gdy Arjosa i Orlę przywiodą, oddam wam resztę zapasów, a sam ich nie dotknę. Tylko jeden dzień wytrzymajcie, skoro tego żądają bogowie!

Zmik.

Tak, żądają. Jeżeli nie będziecie im posłuszni, jeżeli pokutą nie wyjednacie ich pomocy w schwytaniu Arjosa i Orli, jeżeli wina tych grzeszników obciąży całą gromadę, bogowie wypuszczą na was wszystkie choroby i plagi, odetkają wulkany, zgładzą brzegi rzek, włożą sobie ziemię na ramiona i strząsną z niej ludzi w wodę. Uważajcie! Już nawet złe duchy oblatują nas wokoło, siadają na drzewach, powietrze od nich gęstnieje... Trzeba je siecią wyłowić, uwięzić, zakląć, a bogów prosić, ażeby je wymietli silnym wiatrem.

Alrun.

Czarodzieju, ratuj nas od nieszczęścia!

Głosy.

Ratuj!

Przerażony tłum rozproszył się i ukrył w szałasach.

Alrun.

Czy ty rzeczywiście dostrzegłeś duchy?

Zmik.

Całe roje.

Alrun.

Czemu ja ich nie widzę i nie czuję?

Zmik.

A czy widzisz i czujesz w tej chwili komara na swym karku?

Alrun.

Nic.

Zmik.

A jednak on na nim siedzi. Tak samo duchy.

Alrun.

Gdybym ja mógł na gorsze złapać, poodłamywałbym im skrzydła i poukręcał głowy, jak wróblom.

b. m. zawiązało się w Berlinie umyślne stowarzyszenie, które działać ma w porozumieniu ze związkiem bimetalistów francuskich, grupujących się około towarzystwa rolniczego całej Francyi. Jednocześnie w Londynie zachowawczy Balfour nie uważa już bimetalizmu za coś takiego, coby *a limine* odrzucić wypadało: owszem, warto się nad nim zastanowić. Kto wie, czy srebro praw swoich nie odzyska?

W Norwegii od początku miesiąca trwa przesilenie, już nietylko rządowe, ale międzypaństwowe. Unia z r. 1814 przebywa ciężką próbę. Norwegowie chcą konsulatów własnych; Szwecya dać ich nie chce. Od dziesięciu lat już stronnictwo radykalne w Norwegii pcha naród do zerwania Unii. Obecnie niema rządu, jest tylko tymczasowy, a król porozumiewa się listownie z prezesem storthingu. Obiega wieść głucha o wprowadzeniu załóg szwedzkich do kraju. Byłby to początek końca.

D. 18 b. m. zmarł w Arco arcyksiążę austryacki Albrecht.

Na Węgrzech prezes gabinetu, Banffy, przypomniał magnatom, że mają uchwalić jeszcze dwa prawa kościelno-polityczne: o t. zw. recepcyi żydów i o swobodzie wyznań wogóle. Rząd może mieć aksamitne pazury w wykonywaniu praw, ale od praw samych nie odstąpi. Ten kulturkampf węgierski wytworzył już tam centrum katolickie pod sterem Zichy'ego, jako stronnictwo ludowe. Jednocześnie istnieje odłam Szaparego i zlepek „narodowców“ Aponyi'ego. Wielkie stronnictwo deakowskie z lat 1866—7 coraz bardziej się rozprzęga.

BADANIA NAUKOWE.

HYPNOZA W KULCIE.

III. Rola suggestyi.

Jeszcze raz wrócimy do zasadniczej idei Stolla: twierdzi on, że poddanie pewnej myśli przez kogoś i autosuggestya wystarczają najzupełniej do wyjaśnienia wszystkich objawów i faktów mistycyzmu. Już zaznaczyliśmy kilkakrotnie, że to pogląd jednostronny, bo oderwany czynnik, występujący w badanych zjawiskach, bierze on za jedyny. Obecnie zatrzymamy się szczególowiej nad tem podstawowem założeniem etnografa szwajcarskiego.

W poprzednim numerze rozpatrywaliśmy zachwyt proroczy. Stoll tłomaczy go przez autosuggestyę. Że wywiera ona wpływ, o tem nie powątpiewamy, ale co najwyżej jest mierzwą, wzmacniającą naturalne siły gleby, bo stan fizyologiczny, który poprzedza „języki,“ bywa wywoływany przez przyczyny zgoła inne. Drganie rytmiczne organów, bliżej jeszcze nie zbadane przez naukę, oddziaływają na nasz mózg i sprowadzają żywiołowe wyładowanie energii. Przypuszczać należy, iż rola suggestyi jest podobną w wielu innych wypadkach. Zaznaczmy chociażby analizę narkotyków, używanych w kulcie — zagadnienie, o którem słusznie powiada profesor zuryski, że oczekuje ono na badaczów. Trunki, kadzidło i inne pokrewne środki odgrywały zawsze w praktyce mistyków rolę bardzo doniosłą. Upajanie się odwarem tytoniu lub dymem z niego, praktykowane przez czerwonoskórych w Ameryce, używanie napojów wyskokowych nawet u bardzo nizko stojących ludów, smarowanie ciała swego maściami, jak to między innemi było w zwyczaju pomiędzy wiedźmami średniowiecznemi, wszystkie te praktyki stanowią jedynie ogniwa rozpierzchłe ogólniejszej tendencyi, polegającej na podnieceniu organizmu i doprowadzeniu go tą drogą do ekstazy proroczej. Zwyczaj używania kadzideł, istniejący jeszcze na wyższym szczeblu kultury, lub eter, stawiany we flakonach na seansach spirytystycznych, są albo przeżytkami z czasów pierwotnych, albo bezwiednem wskrzeszeniem przedwiecznych zwyczajów. Narkotyk służy jako podnieta, wywołująca ekstazę: osoba, doprowadzona do nieprzytomności przez użycie odwaru lub odurzona dymem, traci świadomość i wpada w stan osłupienia, w którem zaczyna prorokować. „Palenie konopi — powiada Livingstone — sprowadza rodzaj obłędu spazmatycznego, który niebawem zamienia się na wartki potok wyrazów bez znaczenia lub zdań urywanych. Nikt nie zwraca uwagi na to krasomówstwo wyroczni, która znienacka urywa i po powrocie do zmysłów wygląda nieco na waryata.“ Ale jakkolwiek stosowanie środków podniecających jest zwyczajem powszechnym, przecież nikt dotychczas nie przedsiębrał próby zbadania, na czem mianowicie polegają wpływy, przez nie wywierane w obrzędkach kultu na organizm ludzki. Zadawalano się poglądem, zwykle dla nauki najniewdzięczniejszym, jako rzecz jest tak prostą, że nie potrzebuje dochodzenia, tj. że skutki, sprawiane przez narkotyk, podczas użycia jego w kulcie, znajdują się w jak najściślejszym związku z naturą trunku, względnie wyziewów. Ktoś upaja się lub odurza, zaczyna bredzić, inni zaś biorą to za wyraz woli duchów. Jednak pogląd to bezwarunkowo mylny, przynajmniej po rozbiorze, dokonanym przez Stolla, nie wahamy się twierdzić, że prócz skutków bezpośrednich narkotyku, jest tam jeszcze coś więcej. Etnograf szwajcarski, zamiast przyjęcia na wiarę utartych poglądów, postanowił sprawdzić stopień ich wiarogodności, tj. zaczął doświadczać, o ile stan fizyologiczny, wywołany przez pewną podnietę u zdrowego członka naszej cywilizacyi, zgadza się z opisami przebiegu, występującego u szamanów po zażyciu tego samego środka. Spostrzegł niebawem, że nie zgadzają się one nawzajem z sobą, mianowicie, że w wypadku ostatnim, kiedy narkotyk służy do celów mistycznych, istnieje *plus* niejaki, wybiegający po za granice, nakreślone przez naturę zażytego odwaru. Czynił on doświadczenia nad sobą samym, rozpytywał się znawców, porównywał wypadki, zaczerpnięte z etnografii. W ostatecznym rezultacie swoich poszukiwań doszedł do wniosku, że prócz bezpośredniego działania ze strony narkotyku, trzeba przyjąć jeszcze uprzednią autosuggestyę: pod wpływem tradycyi szaman wierzy, iż po zażyciu środka nastąpi zachwyt proroczy. Narkotyk jedynie przygotowywa organizm do poddania się suggestyi, która znowu treścią swoją wpływa na zachowanie się podczas bezwładności. Między innemi Stoll zaznacza rzecz charakterystyczną, mianowicie, że na wschodzie zamierzający użyć narkotyku, uprzednio winni przygotować sobie wrażenia na czas nieprzytomności odpowiedniem namyślaniem. Ale w tym wypadku autor wziął sprawę zanadto jednostronnie. Jeżeli idzie o wywołanie stanu proroczego, to zarówno narkotyk, jako też autosuggestya stanowią, naszem zdaniem, bodźce pomocnicze, główną zaś istotą zjawiska jest cerebracya nieświadoma, rodząca się pod wpływem dreszczów rytmicznych.

Może jeszcze ciekawszy dowód, że w kulcie nie wszystko da się wytłomaczyć przez suggestyę, względnie autosuggestyę, stanowią t. zw. kryształy czarodziejskie. Powszechnie różni czarodzieje używają w swoich praktykach kryształów. Mamy pod ręką opis, dotyczący wróżbity australskiego, który posługuje się tego rodzaju przedmio-

---

Zmik.

Raz udało mi się zwabić je w wydrążoną tykwę, zatkać ją trawą i wrzucić do wody, skąd wydobyły się dopiero wtedy, gdy trawa zgniła.

Alrun.

Zrób to, mój przyjacielu.

Zmik.

Nie, wolę przeciw nim użyć pewniejszego sposobu. Bo gdyby jeden nieprzyjazny nam pozostał nieuwięziony, mógłby pomścić się na twoich wysłańcach i zgęścić im las, poprzesadzać drzewa lub przeciąć drogę wodą. Chodźmy teraz do miejsca, gdzie zastawiłem bogom ucztę, którą oni niewidzialni jedzą. Objawią ci się niezawodnie... Słyszysz, jak pomrukują w chmurach?

Alrun.

Prowadź mnie do nich — zaraz!

Widok 9.

Jeszcze noc nie zdążyła zapalić swoich kaganków nad światem, kiedy bóg burzy wyruszył i wypuścił na niebo całą psiarnię wichrów, która uganiała się za chmurami, spędzała je w stada lub rozpraszała i rozdzierała na płaty. Ile razy w ucieczce skłębiły się liczniej, groźny łowiec ciskał ku nim z ognistego łuku piorunową strzałę, która długo warcząc, z hukiem w nie uderzała. A po każdem takiem ugodzeniu spadały na ziemię grube i rzęsiste krople krwi chmur zranionych. Wreszcie deszcz osłabł i wyciekał już tylko drobną rosą, ale bóg nie zszedł jeszcze z nieba i miotał swe groty dalej. Zmik z Alrunem zbliżyli się do olbrzymiego drzewa, pod którem na ołtarzu z palów i gałęzi leżały ofiary.

Zmik.

Czy widzisz?

Alrun.

Kuna.

Zmik.

To bóg ospy. Zwykle w takiej występuje postaci.

Alrun.

Koło nóg moich prześlizgnął się jakiś gad. Zapewnie grzechotnik.

Zmik.

Nie nadepcz go — to bóg deszczu, który ry widocznie wskutek moich próśb przybył tu, ażeby twoim wysłańcom ułatwić wyprawę.

Alrun.

Ty nazywasz to ułatwieniem, że ich ulewa zmoczy?

Zmik.

Nie rozumiesz — ona stłumi odgłos ich kroków, a Orlę i Arjosa wpędzi do kryjówki.

Alrun.

Zaświeciły w krzakach oczy jakiegoś zwierza.

Zmik.

Zapewne boga błyskawic, który będzie rozwidniał drogę naszej obławie. Są tu jeszcze inni, niezliczeni, słyszę szelest ich ruchów... Teraz, gdy się zgromadzili tak blisko, przemówię do nich po raz ostatni w twojem imieniu... A ty jako człowiek grzeszny i oglądać ich niegodny, padnij twarzą na ziemię i osyp głowę pyłem.

Alrun położył się. Podczas modlitwy Zmika niebo co chwila odbrzmiewało stłumionymi rykami.

Zmik.

Potężni bogowie, duchy ziemi, nieba, wód, gór, wszelkich chorób, użyczcie swej łaski i mocy temu nędzarzowi, który przed obliczem waszem się korzy. Ty niezmożony boże wichrów, popychaj jego posłańców ku celowi ich podróży i nie powstrzymuj ich biegu. Ty wszechmocny boże słońca, nie zlewaj na nich ani swego żaru, ażeby

tem. W różnych zakątkach Ameryki barbarzyńskiej również są używane wygładzone kamyki i kryształy. Czasy średniowieczne także obfitują w pokrewne praktyki. Kiedyś tłomaczono użycie takich świecidełek formy prawidłowej tem, że dzikusy postaci krystalicznej przypisują własności cudowne i sądzą, iż posiadając skarb taki, rozporządzają siłami nadprzyrodzonemi. Ceremonia polega na tem, że szaman wpatruje się w gładką powierzchnię, tam spostrzega drobnoludków, krajobrazy, słowem pierwiastki rzeczowe, z których układa przepowiednię.

Czytując takie opisy, mimowoli porównywamy praktyki szamańskie z naszymi środkami wywołania snu hypnotycznego: komuś nakazujemy wpatrywać się w punkt świecący, aż do bezwładności umysłowej. Z takiego stanowiska wyszedłby etnograf szwajcarski, gdyby był wyraźnie wypowiedział swe poglądy w tych ustępach książki, w których mówi o wpatrywaniu się w powierzchnię wody, w kamyki itd. Musimy przyznać się, że jeszcze przed paru miesiącami zupełnie podzielilibyśmy to zdanie, uważając wróżbę z kryształu za najpospolitszą suggestyę. Doszło do tego, że notując fakty etnograficzne, przestaliśmy z biegiem czasu zapisywać szczegóły o kamykach, gdyż zdawało się nam, iż nie przedstawiają one głębszego interesu. A jednak słuszność była po stronie wróżbitów i czarodziejów! W rocznikach londyńskiego Towarzystwa psychologicznego znalazłem rozprawkę, dotyczącą tak zwanej *Crystal-vision*. Odrzuciwszy balast niepotrzebny i podejrzany, spotkałem tam przecież coś takiego, co kazało mi zmienić dotychczasowe zapatrywania względem tego przedmiotu. Co więcej, gdybym nie obawiał się bólu głowy i rozstroju nerwowego, to czyniłbym osobiście tego rodzaju doświadczenia. W każdym razie twierdzę z całą stanowczością, że w widzeniach znachorów niema ani źdźbła z góry powziętej suggestyi, że owe postacie, ukazujące się w kryształach, są prawdziwe, tj. chociaż są iluzyą, ale dającą wskazówki bardzo realne; że zapomocą tej praktyki szamańskiej w niektórych wypadkach można „wróżyć," tj. odszukać np. zgubione rzeczy. Naturalnie, w tem wszystkiem nie ma ani drobiny nadprzyrodzoności, bo mamy tam tylko do czynienia z wysoce ciekawem zjawiskiem, którego mechanizm jest w zgodzie z dotychczasowemi twierdzeniami psychologii.

Przedewszystkiem przypatrzmy się faktom. Osoba, która czyniła doświadczenia nad sobą, jest wyznawcą filozofii mistycznej. Ale posiada sporo sumienności w badaniu i umie odróżniać fakty od swoich uprzedzeń apriorystycznych. Opisy jej odznaczają się jasnością, w wielu wypadkach przewybornie zdaje ona sobie sprawę ze zjawisk badanych. Opis nr. 7. „Znajduję w krysztale kawałek ciemnego muru, pokryty białym jaśminem. Pytam siebie: czyżbym to widziała gdzieś podczas dzisiejszej przechadzki? Nic zachowałam w pamięci takiego krajobrazu, niezwykłego wogóle na przestrzeni Londynu. Postanowiłam swoją drogą jutro powtórzyć przechadzkę dzisiejszą i zwrócić baczną uwagę na pokryte roślinnością mury. Dzień następny rozwiązał zagadkę. Znalazłam to miejsce i przypomniałam sobie, że przechodząc tędy, rozmawiałam żywo z towarzyszem spaceru i moja świadoma uwaga była zaprzątnięta." Nr. 30. „Poddano mi suggestyę, że mam wpatrywać się w kryształ z zamiarem ujrzenia w nim wyrazów. Widocznie miałam do czynienia z ogłoszeniem gazety; druk przypominał pierwszą kolumnę *Timesu*. Dotyczyło ono śmierci pewnej damy, która niegdyś często odwiedzała nasze kółko i była w zażyłych stosunkach z moimi najlepszymi przyjaciołmi. Gdybym ten nekrolog świadomie przeczytała, zainteresowałby mnie niezmiernie. Wrażenie to opowiedziałam przy śniadaniu, wymieniłam nazwisko, miejsce, datę, wzmiankę o długich cierpieniach nieboszczki i dodałam, że nigdy nie słyszałam o jej śmierci i nawet w ciągu paru miesięcy nie doszła do mnie żadna wiadomość, którabym mogła nasunąć mi taką halucynacyę. Rzekłam wreszcie, że dnia tego, zanim przeczytałam pierwszą kolumnę *Timesu*, przerwano mi i nie zdążyłam ześrodkować swojej uwagi na jakimkolwiek nekrologu. Pani S., z którą byłam razem, odszukała gazetę i tam znalazłyśmy wzmiankę niemal dosłownie taką, jaką widziałam w krysztale." Nr. 68. „Nieuważnie zniszczyłam list pewien i nie zachowałam adresu. Pamiętałam hrabstwo i na mapie wyszukałam miasteczko. Ale nie miałam klucza do odnalezienia nazwy domu lub ulicy, aż wreszcie przyszło mi na myśl spróbować kryształu. Po krótkiem wpatrywaniu się otrzymałam napis *H. House* zielonemi literami na tle białem. Nie mając innej wskazówki, wysłałam list pod adresem, tak dziwnie wyszukanym. Po paru dniach otrzymałam odpowiedź z napisem w nagłówku: *H. House*; litery były zielone, tło białe!"

Podaliśmy wypadki, podlegające najłatwiej analizie. Dowodzą one, że wpatrywanie się w kryształ wywołuje pewien stan ducha, w którym obrazy, przechowane w nieświadomych pokładach naszej pamięci, wypływają na powierzchnię świadomości. Osoba powyższa w ten sposób wkrzesała w swojej pamięci świadomej warunki, poprzedzające zapodzianie się danego przedmiotu. Umysł prostaczy wziąłby to za objawienie cudowne i rzekłby, że kryształ posiada właściwość „wróżenia."

Idzie tylko o wytłomaczenie figur, które ukazują się niby w kamyku. Pod tym względem pozwolę sobie z własnego doświadczenia przytoczyć pewne fakty. Niekiedy z powodu bólu głowy cierpię na bezsenność; w zamkniętem oku migają różne przedmioty: to jakby na czarnej desce występują drobne cyfry, ale jaknajwyraźniej napisane, zwykle barwy czerwonej; jedna po drugiej przewijają się miniaturowe twarze, ale o rysach bardzo ostrych, tak że mogę odgadnąć, do kogo należą. Niekiedy oglądam krajobrazy i każdy szczegółik występuje jasno. Wola i świadomość nie odgrywają żadnej roli w ukazywaniu się tego roju postaci. Są to wszystko płody rozdrażnionego zmysłu wzrokowego do spółki z robotą idejową mózgu: wyobraźnia je objektywizuje niby zewnątrz. Szaman, za pomocą kryształu, dowolnie wywołuje te obrazy i skupia je niby w krysztale. O samym stanie, w jakim się wtedy on znajduje, nic nie wiemy. Ktoś powiada, że „osoba wpatrująca się niekiedy zasypia, niekiedy oczy się zamykają lub zachodzą łzami," ktoś inny wspomina o zawrocie głowy, jeszcze ktoś „doszedł do takiego zamętu, że natychmiast odrzucił kryształ." Widoczne, że mózg protestuje przeciwko zmuszaniu go do uświadamiania tego, co w postaci nieświadomej leży na dnie jego.

Wreszcie od przykładów, przez nas przytoczonych, uczyńmy jeszcze krok dalej. Ktoś radzi się wróżbity, jaki los go spotka. Wyobraźnia pokazuje czarodziejowi pewien obraz w krysztale, np. że zasięgający rady leży obłożnie chory. Dla osób niektórych przepowiednia taka może być zabójczą i istotnie doprowadzić do niemocy fizycznej, a więc spełni się wróżba.

Na tem poprzestaniemy. Nasze wywody upoważniają do wniosku, że jakkolwiek suggestya odegrać mogła i faktycznie odegrała rolę bardzo doniosłą w praktykach mistycyzmu, to przecież nie taką, jak to usiłuje przedstawić Stoll. Zresztą prócz zarzutu, że jednostronnie wyśrubował znaczenie hypnozy w kulcie, winniśmy zastrzedz się przeciwko innemu jeszcze pun-

---

nie nużyli się pochodem, ani swego światła, ażeby mogli przysuwać się niedostrzeżeni. Ty straszny boże wysokich drzew i niskich krzewów, skryj ich chłodnym i nieprzeniknionym cieniem, a nie daj go tym, których oni ścigają. Ty żarłoczny boże wód, wypłaszcz dna rzek w miejscach, przez które oni przechodzić będą, a wydrąż je głęboko tam, gdzie uciekający przed nimi stąpią. Wszyscy, źli i dobrzy, przytomni tu i nieobecni, wy, których widzę spożywających ofiary, ważących się na gałęziach, zlatujących z nieba, przyjmijcie modlitwę moją. Błagam o to ja, najwierniejszy kapłan wasz, orędujący za tym wodzem, który uznaje się zbyt grzesznym i małym, ażeby śmiał do was się odzywać i tylko myślą powtarza moje słowa. Ślubuje on i przysięga niezmiennie was czcić, szanować i obdarowywać waszego sługę, a gdyby tego nie czynił, spuśćcie na niego najdotkliwsze bóle, osypcie go krostami pełnemi robaków, otwórzcie mu niegojące się wrzody na całem ciele, wykręćcie mu źrenice w przeciwne strony, rozpalcie ziemię, gdzie stanie i zagotujcie wodę, w którą się zanurzy.

Alrun.

Dosyć, dosyć!

Zmik.

Gdyby zaś Arjos i Orla schronili się do bezbronnego ludu Podlotów, wyrabiającego święte posążki, pozwólcie ich tam napaść i uprowadzić przemocą... Gdyby ukryli się na ognistej górze, w której wnętrzu duchy przyrządzają wam jadło, pozwólcie na nią wejść ludziom Alruna.

Zmik przez chwilę milczał.

Pozwólcie... wszechmocni i nieśmiertelni... Alrunie, wstań, bogowie już oddalili się.

Alrun wstał blady i wzruszony.

Patrz w górę... Na tronach z obłoków zasiedli wokoło, a niektórzy jeszcze podążają szlakiem drogi mlecznej. Czy widzisz?

Alrun.

Nie.

Zmik.

Grzechy pokładły ci na oczach łuski, które tylko ofiarami zetrzeć zdołasz. Tak, siedzą już wszyscy i spoglądając na ciebie, radzą... Od jutra los mówić ci będzie, co o twojem przeznaczeniu postanowili. Może kiedyś duszy mojej, gdy opuściwszy śpiące ciało, do nich się wzbije, powiedzą tę tajemnicę.

Rozległ się grzmot, jak gdyby zaturkotały koła rydwanu boga burzy, zjeżdżającego z nieba ku ziemi.

Tym głosem objawili oni swój rozkaz całej naturze, a ona echami odpowiada, że go zrozumiała.

Spadł piorun.

Rozgniewany bóg uderzył maczugą kogoś z nieposłusznych. Już skończyli naradę i rozchodzą się do swych siedzib. Ty, Alrunie, wróć także do obozu i opowiedz wszystkim, coś widział.

Alrun.

Coś ty widział...

Odszedł. Zmik spojrzał za nim urągliwie. Alrun odwrócił się i rzekł z groźbą:

Pamiętaj i przypomnij im — Orlę!

W tej chwili między drzewami przewinął się i daleko pomknął zgrzytliwy śmiech Soba.

(D. c. n.)

ktowi jego książki. Mianowicie w świecie szamanów trzeba koniecznie odróżnić dwa typy: bierny, ulegający suggestyi, i czynny, narzucający ją innym. Wyróżnienie to istnieje nawet—przynajmniej tak się wydaje—w misteryach greckich, wzięte za podstawę organizacyi: hypnotyzerzy byli tam arcykapłanami, którzy za pomocą hypnozy oddziaływali na proroków i inne postacie, poddające się suggestyi. Jako aktorzy czynni, nakręcali oni swoje maryonetki, które w odpowiednich chwilach wyładowywały przed publicznością dany im rozkaz. Różnica to zasadnicza, i Stoll, nie uwzględniając jej, popełnił błąd bardzo wielki.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Giosuè Carducci: *Delle poesie edite e inedite di Ludovico Ariosto.* (Studi e ricerche). — F. de Sanctis, *Storia della letteratura italiana* t. II.

Pierwsze poezye Ariosta w języku łacińskim poświęcone były zupełnie miłości. Gdy liczył lat 22, ojczyznę jego zalewał najazd cudzoziemców, a on miał wciąż do czynienia tylko ze strzałami Amora. Carducci tłomaczy tę obojętność duchem indywidualizmu, nazbyt wybujałego, który wówczas przenikał Włochy. Tymczasem poeta stracił ojca, stał się jedyną podporą licznej rodziny i wziął na siebie te obowiązki z cierpliwością i przywiązaniem. Było to w roku 1502. Miał wówczas lat 28. Dla zarobku zaczął pisać wiersze przygodne, na urodziny, śluby itp. uroczystości książąt włoskich. Taki był okres poezyi łacińskiej Ariosta. Autor uważa go za nader ważny dla późniejszej karyery poety. „Trudno zaprzeczyć—powiada Carducci—iż języki romańskie, nawet włoski, mają w porównaniu z dwoma językami starożytności klasycznej, wiele rozwlekłości i lenistwa; gdy się opuszczają, są słabe w stawach i wloką się krokiem niepewnym; dopiero pod dyscypliną swej matki mogą posiąść tę wolną godność i elegancką pewność, które są oznaką dobrego urodzenia."

W r. 1503 Ariosto porzuca język martwy i przystępuje do „Rolanda szalonego." Niestety, praca przerywana była przez kaprysy i zachcianki kardynała d'Este, biskupa Ferrary, u którego był na posługach, zwykłym posłańcem. Nędza go jednak nie rozgoryczała, był i pozostał poczciwcem, o cnotach mieszczańskich, które mu dyktowały szlachetne, pełne poświęcenia zachowanie względem rodziny i doprowadziły nareszcie drogą pokory, a raczej hamowanych buntów wewnętrznych, do dostatku. Wówczas oddał się całkiem swemu dziełu, nad którem pracował lat 30, pędząc życie spokojne i ciche.

W jaki sposób się stało, iż artysta XVI stulecia wybrał taki temat? Jakie są źródła Rolanda? Na te kwestye krytyka współczesna rzuciła zupełne światło. Literatura rycerska—cyklu Karola Wielkiego i cyklu bretońskiego—z wielkiem powodzeniem uprawiana we Francyi średniowiecznej, rozpowszechniła się i we Włoszech. Dante wyrzucał, jako hańbę swym współrodakom, iż smakują w języku „pospolitym" sąsiadów, a gardzą swym własnym.

Wkrótce jednak obce wymysły nie wystarczały Włochom; zaczęli tworzyć własne w sposób następujący: jakiś rycerz opuszczał dwór Karola IV, udawał się w podróż incognito, dotykając po drodze czynów niesłychanych: zabijał potwory, wyzwalał piękne dziewice, uwięzione przez czarodziejów itd.

W ten sposób na starym pniu pieśni bretońskich przyszczepiano nowe pionki. Przyodziewano zarazem te pieśni w formę oktawy, która była starożytnym metrem ludowym włoskim.

Tak powstał romans rycerski we Włoszech. Jednym z głównych jego przedstawicieli był Pulci, autor poematu „Morgante Maggiore." Co jest charakterystycznem w tym poprzedniku Ariosta, to jego zachowanie się względem opisywanych wypadków. Możnaby rzec, iż człowiek poważny buduje zamek z kart i po ukończeniu ze śmiechem go rozwala. To Odrodzenie kpi z wieków średnich.

Drugim bardziej utalentowanym poprzednikiem Ariosta, był hr. Boiardo, dworak, wielce gładki i wykształcony, obdarzony bogatą wyobraźnią. On pierwszy miał myśl zrobienia Rolanda zakochanym i, stawiając miłość z honorem w zapasy, był jednym z mistrzów epopei komicznej. Ironia Renesansa u niego się iskrzy, nie mniej, niż u Ariosta. Inaczej być nie mogło. Człowiek XV-go stulecia nie mógł zachowywać się poważnie, opowiadając te historye o czarodziejach i potworach, będąc sam nawskroś przesiąknięty kulturą klasyczną.

Boiardo był także nauczycielem Ariosta pod względem galanteryi i dworactwa. Dał mu osnowę poematu i nareszcie ducha, ideę przewodnią: obojętne zachowanie się względem chrześciaństwa. Pomimo to oryginalność Ariosta nie ulega wątpliwości. Oto główne rysy fizyognomii duchowej według Sanctisa. Genialny artysta może stworzyć świat, w który sam nie wierzy, uważać go za niemożebny i zrobić go żywym, żartować zeń i zarazem nas zaciekawiać.

Takim utworem jest „Roland Szalony." Ariosto nie jest ani wierzącym, ani sceptykiem: jest obojętny. Świat, śród którego żyje, pozbawiony wszelkiej szlachetności, bez religii, bez ojczyzny, wcale go prawie nie obchodzi. Bardzo dobry człowiek, poczciwiec z natury, o instynktach szlachetnych i wolnych, ale zarazem cierpliwy i pracowity, Ariosto wypełnia w życiu rolę, jaką mu nędza wyznaczyła z wielką inteligencyą, ale zarazem bez entuzyazmu i udziału wewnętrznego. Był to artysta, a nie poeta, lecz artysta genialny.

Nazywano go często roztargnionym. Ależ życie było dlań roztargnieniem, dodatkiem; głównem jego zadaniem była sztuka.

Od wszystkich cierpień i ciosów, w które ubóstwo jest tak obfite, uciekał wewnątrz siebie, w świat marzeń i sztuki. „Wówczas wzrok jego się zapalał, twarz stawała się natchniona; czujemy w nim boga. Tam, na tem czole, żyło wciąż to, co Italia miała jeszcze żywego—artysta."

Ten świat rycerstwa, tak oddalony, istniał już tylko w wyobraźni, jako bajka lub legenda. Zachowano zeń tylko trochę dwoistości, nic więcej. Pozostawał wprawdzie jeszcze kodeks honoru i miłości, ale on nie przeszkadzał ani fortunie Cezara Borgii, ani teoryom Machiavela; ten honor i ta miłość pozostawały na wierzchu, głównie w manierach i w elegancyi życia salonowego.

Rycerstwo uważano za wymysły, interesujące nie ideałem wewnętrznym, lecz rozmaitością, dziwnością przygód. Był to conajwyżej sposób zaciekawienia i zaintrygowania. Stąd pochodzą te sztuczne sposoby opowiadania, przerwy i nawroty, zapożyczone później przez romanse przygód. Świat nie był więc rycerskim, ani też Ariosto. Przystępował do swego dzieła jak malarz, któremu wszystko jedno, czy stworzy świętą czy nimfę, byleby była dobrze namalowana.

Zapytywano często, jakim był cel Ariosta? Żaden, oprócz chęci przedstawienia świata rycerskiego. Wszelkie inne tłomaczenia są mniej więcej dowolne. Tak np. Ugo Canello przypisuje Ariostowi ideę polityczną, zaliczając go do Gibellinów. Wykazuje on szeregiem dowodów bardziej dowcipnych, niż ścisłych, iż epopea Karolowa miała zawsze powodzenie w czasach, gdy trzeba było wzmocnić władzę cesarską. W danym razie pracowała ona wrzekomo na korzyść Karola V. Autor odnajduje nawet analogię między dziełem tego monarchy i dziełem naszego poety.

To ostatnie składa się z epopei, kilkunastu romansów i z nowelek bez liku, złączonych w jedną całość. Jestto jednak całość sztuczna, bez jedności wewnętrznej, zbiór przygód połączonych społem, rozwijających się w sposób niepewny i dziwaczny. Taki jest również układ polityczny Włoch i Europy, stworzony przez Karola V. Widzimy tu także obszerną jedność, ale źle utwierdzoną w całości i w szczegółach, tj. w państwach oddzielnych, które od niej zależą.

Waha się ona pomiędzy swym charakterem germańskim i nowo-łacińskim i wydaje się połupaną pomiędzy drobne rządy, gotowe na kształt epizodów, oddzielić się przy pierwszej sposobności.

Jestto dziwny świat pozorów, utwór fantastyczny człowieka zbyt potężnego i kapryśnego, który jak gdyby bawi się w rozkładanie i odbudowywanie Europy, tak samo, jak Ariosto łamał na kawałki i odbudowywał ponownie gmach legendarny baśni europejskich.

Wszystkie tego rodzaju tłomaczenia wydają się Sanctisowi zbyt sztuczne. „Jedność poematu jest konwencyonalizmem, datującym się od Arystotelesa i Horacyusza i byłoby niedorzecznością chcieć ją zastosować do świata, w którym żył Roland.

Rysem charakterystycznym tego świata jest właśnie inicyatywa osobista, brak powagi, porządku, wytrwania w akcyi jedynej i głównej, do takiego stopnia, iż akcye są nazywane przygodami, a rycerze stają się błędnymi. Ich jedynym celem i zabiegiem jest oderwać się od centru i iść samopas. Organizować ten świat według zasad i recept „jedności," znaczyłoby skrzywić, spaczyć go zupełnie. Tu nieporządek jest porządkiem. Zresztą i tu istnieje jedność, ale w sztuce samej. Po nad tą anarchią rycerską panuje duch pogodny, pełen harmonii, który kieruje intrygami, miesza je i układa podług swego widzimisię, łechce ciekawość, nie nużąc uwagi, umie uniknąć przy całej tej rozmaitości i dowolności ruchów, starć i ciżby; w sposób zupełnie nieoczekiwany przyprowadza przed was osoby i wypadki, które wydawały się całkiem zapomniane, łączy wreszcie, kiedy mu się podoba, wszystkie nici rozsiane w takim nieporządku. On jeden jest spokojny i pogodny w zatargu i zgiełku tylu czynników pokłóconych.

Poeta nigdy się nie wtrąca do opowiadania. Gra rolę zwykłego widza ciekawego świata, jak gdyby świat ten nie wyszedł z jego własnej wyobraźni. Stąd ta przedmiotowość i jasność, które często nazywane były homeryczne. Tu sztuka włoska doszła do szczytu swej doskonałości i Ariosto uważany być może za księcia artystów. Nie ma żadnej maniery, przeciwnie, zupełną szczerość w przedstawianiu rzeczy takiemi, jakie są. Proteusz niedościgniony, jego geniusz przybiera milionowe kształty, wciąż odmienne i zastosowane do natury rzeczy i wypadków. Z jednakową łatwością, z jednakową pewnością z pod pióra jego rodzi się heroizm, tragizm, komizm, sielanka, sprośność przy zupełnej powadze artystycznej, bez wysilków i klownizmu.

Chwyta rzeczy w lot, w ruchu, ze wszystkimi szczegółami dobrze rozwiniętymi w szerokich fałdach oktawy, nie zaś napomkniętymi tylko, jak u Danta, który

wciąż każe się domyślać. Charaktery są ledwie zarysowane, ale tem pełniej się rozwijają w akcyi.

Ariosto czyni w swem dziele wrażenie człowieka, który śni na jawie, z oczyma nawpół przymkniętemi, pogrążony z zadowoleniem w wizyę fantastyczną. Marzenie go czaruje, nie mówiąc nic ani jego sercu, ani umysłowi. Jest to czysta gra wyobraźni.

Przed poetą przebiega fala widoków tak jasnych i żywych, tak naturalnych i wyrazistych, iż one go całkiem pochłaniają, czarując jednocześnie i oko i ucho, gdyż jest to fala pełna dźwięku i harmonii. Jest to świat marzenia, zaczarowanych pałaców, poezyj płynących śród złotych mgieł. Żaden cień rzeczywistości, żadne widmo chwili obecnej, żaden głos z serca ani z mózgu nie mąci tej uczty wyobraźni. Jesteśmy w świecie czystej sztuki. Poeta odwraca się od Włoch, od świata, od wieku i szybuje, jak Dante, w innym świecie. Tylko Dante wlókł za sobą nawet tam ziemię całą; ojczyzna go gnała, prześladowała nawet w marzeniu. Ariosto natomiast przechadza się z wolną głową i lekkiem sercem, zajęty tylko spostrzeganiem i malowaniem wszystkiego, co napotyka, a raczej, co mu wyobraźnia podsuwa.

Świat rycerski jest dlań po za historyą, czystym wytworem jego fantazyi. Ma on na celu sztukę, która sama sobie wystarcza, formę samą przez się, która była marzeniem tego wieku i tego społeczeństwa, muzą Renaissance'u. Ariosto był właśnie największym artystą tej wielkiej epoki, który wcielił wszystkie jej aspiracye. Na czem polegała jego sztuka? Na genialnem naśladowaniu starożytności: przyodział nowe tematy w piękno starożytne. Na gotyckie legendy tchnął duchem klasycznym. „Ożywił — powiada Carducci — w świecie fantastycznym swój kreacyi naród cesarzów, królów, rycerzy, dam, olbrzymów, karłów, potworów, czarodziejów, zaklęwszy ich dźwiękiem liry orphicznej i zaprzągłwszy do swego rydwanu, ściągnął złotemi lejcami pogańskiego Apollina."

Artysta formą, frazesem, wierszem, przywłaszczał sobie wszystkie piękno, które tylko napotykał u swych poprzedników, ale zawsze przetapiał ten złoty kruszec w ogniu własnego geniusza. Nie sposób mu zabrać tego, co on zabrał innym. Na wszystko nałożył własną pieczęć. Ma on tę swobodę, tę wzniosłą lekkość, ten czar piękna, które są szczytem sztuki i przypominają geniusz Rafaela.

L. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Stypedya dla kobiet.—Czytelnia.—Oburzenie augurów.

Mamy dziś do zaznaczenia dwa pomyślne fakty na polu postępu sprawy kobiecej.

Istniejące w Krakowie od lat ośmiu Stowarzyszenie im. J. Ign. Kraszewskiego, zabiera się do rozsądnej, uczciwej pracy. Ma ono na celu udzielanie pomocy materyalnej tym kobietom naszym, które pragną nabyć wykształcenie uniwersyteckie, oraz ułatwienie im ciężkich warunków, w jakich dzisiaj o fachową naukę walczyć muszą. Po długiej bezczynności zwołano wreszcie walne zgromadzenie członków, wybrano wydział i postarano się o usunięcie przeszkody, tamującej wszelką możliwość pracy. Uruchomiono tedy część funduszów i *rozpisano natychmiast konkurs na dwa stypedya* po 300 koron. Prawo do tych stypedyów przysługuje, w myśl statutu, wszystkim kobietom naszym, bez różnicy wyznania i stanu. Zgłoszenia nadsyłać należy na ręce adwokata Adolfa Grossa, sekretarza Stowarzyszenia, tylko do dn. 1 marca r. b. Tyle zrobić się dało na razie. Słyszymy atoli, że wydział Stow., w uznaniu iż takie, a nawet większe i coroczne udzielanie wsparć stypendyalnych, nie odpowiada jeszcze bynajmniej zakresowi pracy, daleko szersze oznacza sobie granice działania. Jeżeli społeczeństwo pomocy swojej nie odmówi, jeżeli pieniędzmi i zachętą moralną poprze usiłowanie Stowarzyszenia, to ono odegra może w Krakowie rolę praskiej „Minerwy," lub wiedeńskiego związku „für erweiterte Frauenbildung. Będzie pracowało nad ułatwieniem kobietom wstępu do uniwersytetów krajowych, postara się o założenie gimnazyum, słowem, dla dobra i postępu sprawy niewieściej pracować będzie.

Z tego, jak się rzeczy dziś przedstawiają, wyobrażamy sobie, że Stow. im. Kraszewskiego zaorze grunt, ugorem leżący, a siejbę przygotuje powstająca, z pozwolenia namiestnictwa, „Czytelnia dla kobiet." Mamy tu związki i kluby wyścigowców i filatelistów, cyklistów i szachistów, mieliśmy nawet smutnej pamięci męzkie i damskie stowarzyszenia gry w karty; nie widzieliśmy tylko nigdy objawu, któryby zaświadczył, że kobiety tutejsze myślą, czują, że mają w sercach cichy jakiś kult dla nauki i miłość dla dobra, które z niej płynie. Występowały jednostki, odzywały się pojedyncze głosy, nie przemówiła jednak dotychczas kobieta, jako grupa społeczna, reprezentująca pewne określone dążenia i interesy. I oto właśnie zawiązuje się „Czytelnia dla kobiet." Celem jej jest ułatwienie kobietom wykształcenia umysłowego, wzajemnego zbliżania i poznawania się i udzielanie bezprocentowych pożyczek. Czytelnia zatem utrzymywać będzie w lokalu swoim książki, treści naukowej i beletrystycznej oraz czasopisma, urządzać odczyty i pogadanki, wreszcie, podobnie jak Stow. im. Kraszewskiego stawia sobie za zadanie założenie gimnazyum żeńskiego. Nie znaczy to bynajmniej, aby zamiarem „Czytelni" była walka konkurencyjna z powyższą instytucyą. Sądzimy przeciwnie, że wobec wielkich trudności, które kobiety zwalczyć będą musiały, zanim grunt pod gimnazyum wykarczują i przygotują, Stowarzyszenie im. Krasz. i „Czytelnia" pójdą ręka w rękę i nie pozwolą, aby stanął pomiędzy niemi mur, ulepiony z babskiej niezgody i zawiści. Mniejsza o to, czyją zasługą będzie wzniesienie zakładu naukowego w Krakowie, byleby go stworzono. Oby interesowane pamiętać o tem chciały! Słyszymy też, że w miarę środków „Czytelnia" wydawać będzie poważne pismo, poświęcone sprawom kobiet naszych wogóle, że wreszcie z biegiem czasu starać się będzie o wydawanie pisanych przez kobiety dzieł naukowych, które z taką trudnością znajdują nakładców. Instytucya zatem, zakreślająca sobie tak pożyteczne, zaniedbane jeszcze pole działania, ze wszech miar zasługuje na uznanie i nie wątpimy, że przy umiejętnym kierunku pozyska sympatyę szerokiego ogółu.

Ponieważ mówimy już dziś o kobietach, więc zatrzymamy się jeszcze chwilkę nad sztuką, świeżo w teatrze tutejszym wystawioną, apoteozującą niejako rozum i cnotę niewieścią. Mamy na myśli „Lisistratę," utwór p. Koźmiana, o osnowie zapożyczonej z komedyi Arystofanesa; a przystosowanej do wymagań scenicznych współczesnych i do środowiska, którego wady autor niemiłosiernie chłoszcze. Oburzenie prasy świadczy najwymowniej, że dostało się Krakowowi kilka dotkliwych słów prawdy. Ale w mieście, gdzie „więcej jest pokuty, niż grzechów," oburza się nietylko prasa—stronnicza, ciasna, wiecznie politykująca—lecz zgrzyta zębami nawet nasza poczciwa zazwyczaj niewrażliwa i niereagująca publiczność. Dlaczego? Treść „Rokoszu kobiet Arystofanesa" powszechnie jest znana i chcąc położyć koniec walce między Atenami i Spartą, niewiasty ateńskie postanawiają zmusić powaśnione strony do zgody, zmniejszając poprostu zwykłą dla mężów swoich uprzejmość. Sam tedy temat sztuki mniej nawet jest drażliwym niż tak mile przyjmowane u nas sztuki Wikt. Sardou, lub wystawiony w Krakowie przed dwoma laty utwór p. Prylińskiej „Szwedzka zapałka," albo wreszcie „Oj, ci mężczyźni" Zalewskiego itp. Drażliwą jest tedy forma, chociaż i tu nawet przyznać trzeba, że składaliśmy już nieraz dowody większego na tym punkcie hartu ducha. Gdyby zresztą twierdzono, że forma jest zbyt surowa, rubaszna dla uszu, które zazwyczaj nie słyszą i nie słuchają, mało tedy w wielkim tym kunszcie posiadają wprawy, przeszlibyśmy nad „Lisistratą" do porządku dziennego. Lecz augurowie nasi wołają: „sztuka niemoralna, nikczemna, hańbiąca bezwstydem swoim każdą uczciwą kobietę!" O, bardzo proszę! „Lisistrata" p. Koźmiana nie jest poważną komedyą, nie jest artystycznym utworem literackim, lecz tylko farsą, zręczną, dowcipną i śmiało atakującą nasz zaścianek. Gdybyśmy mieli Offenbacha, napisałby do niej muzykę i „Lisistrata" podbiłaby serca ludzi wesołych, jak niegdyś i dziś jeszcze „Piękna Helena." Niema zdaje się kobiet, któreby „Pięknej Heleny" nie znały, logicznie rozumując, doszlibyśmy do wniosku, że niema „niezhańbionej bezwstydem" kobiety. Fatalności bowiem żony Menelaja nie są bynajmniej „moralniejsze" i łatwiejsze do wysłuchania niż westchnienia ateniek, roztęsknionych za małżonkami swoimi. Na szczęście polityka augurów nie jest nam obcą—i dlatego, mimo ich oburzenia, z równym zawsze zachwytem weldaniać będziemy estetyczne wrażenia, jakich dostarcza niezrównana przepychem i wspaniałością wystawa „Lisistraty." A jeżeli to grzech—to przyczyni się chyba tylko do zrównoważenia stosunku między liczbą win naszych i pokut, któreby Kraków rad nam nałożyć...

Ferropar.

PAMIĘTNIK.

Sprawy drukarskie.

Nagle zajęto się u nas sprawami drukarstwa. Tutejsi uczestnicy wystawy w Petersburgu ukazali w Warszawie przedmioty, które tam wysłać mają, pisma zaczęły rozprawiać o tem, co je najbliżej dotyczy, a na co dotąd mało zwracały uwagi, wreszcie utworzyło się jakieś „Warszawskie Towarzystwo zakładów drukarskich i litograficznych" z niewielkim wprawdzie kapitałem, ale za to z bardzo długim szeregiem członków. Może to ożywienie będzie miało jakiś dodatni skutek, tymczasem uprzytomnijmy sobie pewne fakty, o których pamiętać należy. Pierwszym jest ten, że drukarstwo w Królestwie znajduje się na nizkim poziomie rozwoju, nieodpowiadającym ani ulepszeniom techniki w innych gałęziach naszej produkcyi, ani stanowi literatury, wymagającemu już bardzo udoskonalonych środków. Pięknie, artystycznie wydana książka jest u nas wyjątkową rzadkością, śród pism peryodycznych zaś ani jedno nie może mieć pretensyi do wytwornej szaty zewnętrznej. Zabarwienie kliszy obrazkowej jakimś kolorem lub umieszczenie kilku ozdobniejszych inicyałów — to jeszcze nie artyzm drukarski, zwłaszcza że te skromne a często dość ordynarne upiększenia

błyszczą na tle niedbale odbitych czcionek. To też nasze strojnisie typograficzne paradują nieraz jak małomiasteczkowe żydówki w szabas, którym z pod jedwabnych sukien wyglądają brudne spódnice. Prawdziwa elegancya nie polega jedynie na tem wierzchniem przybraniu, lecz na staranności i guście w najdrobniejszych szczegółach, których oko nie dostrzega osobno, ale widzi je lub czuje w ogólnym wyglądzie obrazu. Że to zaś nie są rzeczy ani nadzwyczajnie kosztowne, ani nadzwyczajnie trudne, dowodem Kraków, którego roboty typograficzne o wiele przewyższają nasze i do którego drukarń zwracają się autorowie warszawscy, ile razy chcą mieć książkę gustownie wydaną. Tam wytłoczą czysto, odbiją kolumnę na arkuszu równo, złożą starannie, zapobiegną, ażeby marginesy nie zmieniały swych rozmiarów co stronica, ażeby brzegi nie tworzyły strzępów i brzuchów. Wiadomo, że nakładcy angielscy wydają swe książki w oprawach, a introligatorzy zszywają je bez obcinania w tym stanie, w jakim wyszły z pod pras drukarskich. Wyobraźmy sobie naszą książkę tak na surowo ujętą w okładki!

W Petersburgu podczas wystawy nie będzie czasu na obrady nad potrzebami miejscowemi, ale w warszawskim oddziale Towarzystwa pop. r. p. i h. byłby czas i właściwe miejsce dla obmyślenia sposobu dźwignięcia naszego drukarstwa. Należy więc skorzystać z zajęcia, jakie ono zbudziło i... wyznaczyć komisyę. Dreszcz i chęć ziewania czujemy na wspomnienie tej instancyi, ale jeśli jej ominąć nie można, niech i tak będzie, aby coś było!

Fin de siècle.

Jakkolwiek nas to nie dotyczy bezpośrednio, nie możemy pominąć charakterystycznego objawu, należącego do składowych części atmosfery *fin de siècle'u*, którą przecie i my oddychamy. Jak wiadomo, na morzu Niemieckiem zatonął niedawno przedziurawiony statek „Elba,“ z którego ocalało zaledwie kilkanaście osób. Między niemi znalazła się niejaka panna Böcker, nauczycielka. Przerażenie ludzi, ginących na zapadającym się w otchłanie morskie okręcie, ich rozpaczliwe wysiłki ratowania się, rozdzierające sceny, w których ocaleni patrzą na śmierć drogich sobie istot i nie mogą podać im żadnej pomocy, długa walka ze śmiercią tych, którzy dostaną się do łodzi — wszystko to składa się na tak okropną tragedyę, że dziwić się należy, gdy ktoś z niej wyjdzie bez utraty zmysłów. Zdawałoby się więc, że żyjących jej świadków niepodobna torturować wspomnieniami i że najdziksze zwierzę, gdyby rozumiało, położyłoby na ich rany balsam gojący. Ale *fin de siècle*, który niczego nie szanuje i niczem się nie wzrusza, nie podziela tego sentymentu. Znalazł się też jakiś przedsiębiorca, który zaofiarował pannie Böcker 200 marek tygodniowo za... publiczne występy, w których opowiadałaby ciekawym słuchaczom szczegóły katastrofy — a jeżeliby to sprawiało jej zbyt wiele przykrości — ażeby tylko pokazywała się. Dokąd ta bezczelność zarobkowania i handlowania wszystkiem jeszcze dojdzie! Nawet w takich drobnych wypadkach okazuje się wyraźnie to, co spostrzegamy ciągle w ważnych, mianowicie, że „koniec wieku“ nie przyznaje swej czci niczemu, że on nie ma żadnych ideałów, żadnych zasad, żadnych świętości, żadnego przedmiotu, którym nie miałby odwagi frymarczyć. Naturalnie mówimy o tych jego pierwiastkach i żyjątkach, które wytwarzają fosforyscencyę fal jego życia i rozwoju.

Odmianka honoru.

Na scenie naszej przedstawiono dramat Sudermana p. t. *Honor*, w którym autor obrazami, wydobytymi z nieoświetlonych głębin życia, wykazał różnice pojęć o godności ludzkiej, przybierających w pewnych warstwach społecznych postać całkiem odmienną od zwykłej. Wymownego przyczynku do tej sprawy dostarczyło nam nasze własne życie. Skądinąd wiadomo czytelnikom, że w cyrkach tutejszych odbywają się walki zapaśnicze atletów, między którymi sławę niepokonanego miał p. Pytlasiński. Niedawno pisma doniosły, że został on zwyciężony przez niejakiego p. Roebera w Łodzi, który jakoby miał dopuścić się nieprawidłowości i zwichnął przeciwnikowi rękę. Otóż p. R. zamieszcza następujący list w *Kuryerze warszawskim*:

„Szanowny panie redaktorze!

Spodziewam się, że Szan. Pan nie odmówi mi umieszczenia w swoim *Kuryerze* odpowiedzi na artykuł z d. 11 lutego r. b. o mojej walce z p. Pytlasińskim.

Walka została rozpoczęta i była ukończona bez sędziów; nie mogło być więc zdania sędziów, jakobym skutkiem niedozwolonego ujęcia zwichnął p. P. rękę.

Jeżeli zaś prawa ręka została zwichnięta, czyż można zaraz po takim wypadku uderzyć kogoś chorą ręką? — co nastąpiło zaraz po walce, bo p. P. wpadł do mojej garderoby i przy świadkach *dwa razy chorą ręką uderzył mnie w twarz*.

Pan P. został przeze mnie zwyciężony i podług wszelkich prawideł atletyki położony na plecy w minutę i 35 sekund, co może być zaświadczone przez ludzi kompetentnych.

Z uszanowaniem *Ernest Roeber*,
Champion Greco-Roman Wrestler of the World.“

Nikt chyba nie zaprzeczy, że dokument ten popiera dostatecznie tezę Sudermanna.

Towarzystwo ogrodnicze.

Instytucya ta, z którą często się kłócimy a ciągle sympatyzujemy, ogłosiła *Rocznik*, w którym przedstawia obraz swej działalności za r. 1894 i składa rachunki. Co do pierwszej, pomijając pogadanki, wnioski, projekty itd., najważniejszymi jej momentami były: objęcie, odnowienie i upiększenie własnej siedziby (Bagateli), urządzenie wystawy ozdób kwiatowych i doboru normalnego owoców Królestwa Polskiego. Na rok bieżący przeniesiono: ogólną wystawę ogrodniczą, która ma się odbyć we wrześniu, rozsyłanie za pośrednictwem redakcyj pism ludowych drobnym właścicielom ziemskim nasion warzyw wyborowych itp. Ponieważ o wszystkich tych czynnościach i przedsięwzięciach pisaliśmy w swoim czasie, więc ich dziś nie rozbieramy. Stan finansowy Towarzystwa nie pozwolił związać końca z końcem. Główny kłopot wynikł z kosztów urządzenia Bagateli, w których musiano przekroczyć znacznie sumę na ten cel wyznaczoną i jeszcze pokryć pożyczką kilkusetrublowy niedobór. Wypadkowi temu nie nadajemy szczególnej wagi, gdyż jego przyczyna była jednorazową i powtarzać się nie będzie. Kupno Bagateli uważaliśmy za ciężar zbyt wielki, doświadczenie przekonało, że on był jeszcze większym, niż sądziliśmy, ale skoro już raz nabyto posiadłość, należało ją konsekwentnie doprowadzić do porządku. Zresztą jeżeli Towarzystwo dotrzyma swych świeżych ślubów wejścia na drogę praktyczną, do których je od tak dawna nawołujemy, może liczyć na pomnożenie się liczby członków i powiększenie swych dochodów. Dotąd członkowie zamiejscowi nie mieli żadnego interesu należeć do Towarzystwa; skoro ono im jakąś korzyść zapewni — znajdzie ich więcej, niż obecnie posiada.

Czy kupować?

W poprzednim numerze *Prawdy* mówiliśmy o zwyczaju, zabraniającym obywatelowi ziemskiemu stawać do przymusowej licytacyi dóbr szlacheckich. Otóż w tej sprawie odbieramy następujące usprawiedliwienie:

„Przypuśćmy, że majątek ziemski, kiedyś oszacowany przez Towarzystwo kredytowe na 100,000 rs., jest obciążony długami do 80,000 rs.; jego wartość rzeczywista skutkiem złego gospodarstwa, zniszczenia budynków, zniżenia cen produktów—zmniejszyła się znacznie; dokładnie określić ją trudno, ale przyjąć można, że nie przewyższa 60,000 rs. Tow. kred. za zaległą ratę wystawia majątek na sprzedaż. Do licytacyi stają: pierwszy wierzyciel hipoteczny i trzej spekulanci, będący w zmowie między sobą; inni wierzyciele nie mogą nabywać, gdyż nie mają dostatecznego zapasu gotówki, a o samej licytacyi powiadomieni zostali za późno, ażeby pieniądze dostać. Odbywa się przetarg: Pierwszy wierzyciel doprowadziwszy do sumy pokrywającej jego należność, usuwa się, pozostali licytują pozornie i kupują pod firmą umówioną za cenę np. 40,000 rs. Przypuśćmy teraz, że znajduje się ktoś, znający dobrze warunki miejscowe, człowiek uczciwy, prawy, zacny, który po porozumieniu się z nominalnym właścicielem, sąsiadami, ekspertami itd., postanowił nabyć ów majątek za 60,000 rs. Licząc, że kosztów będzie około 6,000 rs., staje do licytacyi, doprowadza szacunek do 54,000 rs. i utrzymuje się. Zobaczmy, jaki w dalszym ciągu będzie rezultat tego: 26,000 rs. spadnie z hipoteki, w sumie tej prawdopodobnie nie znajdą się kapitały spekulantów, gdyż ci umieszczają swe pieniądze dobrze, lecz drobne sumki rozmaitych niezamożnych ludzi, nieraz ostatni grosz biednej wdowy, którą jakiś faktor obałamucił wysokim procentem; to ofiary z jednej strony, a z drugiej były właściciel, człowiek niezdatny do żadnej pracy po za swoim zawodem, niemogący znaleźć zajęcia w swoim fachu, co ma zrobić, gdy go nikt na rządcę ani ekonoma nie przyjmie, szczególnie jeżeli jest niemłody i obarczony rodziną? Teraz proszę poradzić, co ma począć nowonabywca, czy powinien zostać filantropem względem zrujnowanych wierzycieli i b. właściciela i tym sposobem obciążyć majątek służebnościami nie do wytrzymania, czy też stanąć na gruncie etyki prawnie obowiązującej, handlowej, a będąc głuchym na wszelkie wołania, odesłać wdowę do faktora, który jej stręczył lokacyę, ex-właściciela do biura rekomendacyi zajęć, a później... spać spokojnie, będąc wolnym od wszelkich uprzedzeń i zbytniego sentymentalizmu?

Przykład powyższy wydaje mi się typowym; często bardzo kupuje samo Towarzystwo kredytowe, ale to zasadniczo kwestyi nie zmienia. Przyczyny zaś złego są następujące:

1) Tow. kredytowe ziemskie oceniło majątki za wysoko, że zaś jego szacunek jest podstawą, stąd zbyt wielkie długi hipoteczne.

2) Przed licytacyą trudno dobrze określić wartość majątku.

3) O zamierzonych sprzedażach ogłaszają późno i nie dość szczegółowo.

4) Sposób spłacania szacunku, oprócz Towarzystwa, wszystko gotówką w ciągu 7 dni uniemożliwia nabywanie majątku ludziom, nieposiadającym dużych zapasów gotówki.

5) Do licytacyi staje zwykle szczupła garstka spekulantów, będących w zmowie; ktoś obcy może być posądzonym o należenie do nich.

6) Nowonabywca, nie mając żadnych obowiązków prawnych względem byłego właściciela, ma jednak pewne moralne, bardzo trudne do wykonania.

Chcąc powiększyć liczbę stających do licytacyi, należy nie polemizować ze szczupłą garstką ludzi, z zasady unikających kupna na licytacyi, lecz zmienić przeszkody zasadnicze (wymienione w czterech pierwszych punktach), a wtedy znajdzie się tak duża liczba kupujących, że dla subhastowanego będzie obojętnem, czy jego zasiąd będzie też jednym ze stu np. kandydatów, czy też nie.“

Cały ten wywód w wielu twierdzeniach swoich bardzo słuszny, nie tłomaczy bynajmniej: dlaczego ceniący swoją godność obywatel ziemski nie ma stawać jako licytant przy subhastacyi majątku? Jedynym

argumentem pozornej siły są owo „moralne obowiązki nowonabywcy względem wierzycieli, spadłych z hipoteki.“ Jakkolwiek byłoby czynem bardzo pięknym, gdyby on dobrowolnie zmazał cudze grzechy, wynagrodził cudze krzywdy, a zwłaszcza zwrócił biedakom pieniądze, których od nich nie brał i nie zatracił, nie możemy pojąć, jaki obowiązek moralny zmusza go do tej ofiary? Czemuż do niej nie skłania go ten sam obowiązek przy kupnie subhastowanej kamienicy, z której spadły również wierzytelności wdów i sierot? Nam się zdaje, że nabycie folwarku na licytacyi jest czynnością czysto prawno-handlową—niczem więcej.

Pomoc lekarska w nocy.

Warszawa posiada kilkuset lekarzy, a jednak często w razie nagłej choroby w nocy trzeba długo biegać lub jeździć po mieście, zanim uda się jednego z nich ściągnąć. Ten już wezwany gdzieindziej, tamten na balu, raucie albo wincie, inny wprost nie chce opuszczać ciepłego łoża dla jakichś dwu rubli, a może i za darmo. Zresztą to pozorne lenistwo czy sybarytyzm trzeba nieraz uwzględnić. Lekarz przy średniem nawet powodzeniu pracuje 12, 14, czasem 16 godzin dziennie. Czyż zawsze więc można bezwzględnie żądać od niego usług jeszcze w nocy i czy porada, udzielona przez człowieka rozespanego, znużonego, bywa zupełnie sumienna? Na bardzo więc dobry pomysł wpadli lekarze warszawscy. Oto w jednej dzielnicy miasta zamieszkało dwóch razem w tym celu, ażeby kolejno być w pogotowiu na usługi dla chorych w nocy. Prócz tego już w kilku punktach miasta urządzono w aptekach dyżury nocne i określono stałą taksę za poradę dla średniozamożnych po rs. 2. Tym sposobem lekarz, przygotowany na wezwanie, w każdej chwili jest czujny. Korzystają na tem nietylko chorzy, lecz i sami lekarze, bo o ile nam wiadomo, pomoc nocną ofiarowali przeważnie ci, którzy są dopiero na wstępie swego zawodu lub mają zaledwie parę lat praktyki za sobą. Przez pomoc nocną utorują sobie szersze drogi, wyrobią uznanie i mocniejsze stanowisko materyalne, bez forsownego współzawodniczenia z „uznanymi,“ którzy mają zbyt liczną dzienną klientelę.

Instytut weterynaryjny.

Losy tego zakładu naukowego ważą się w chwili obecnej, głównie zaś chodzi o jego podstawy materyalne. Pomimo środków, sięgających zaledwie połowy sum, jakiemi rozporządzają inne tego rodzaju szkoły w państwie, zajął on dość poważne stanowisko śród ognisk nauki specyalnej. Jeszcze w r. 1890, z braku profesorów, najważniejsze katedry były powierzone czterem docentom, którzy z konieczności przyjęli po cztery przedmioty do wykładu. Od tego czasu siły nauczycielskie wzmocniły się: instytut pozyskał czterech profesorów uniwersytetu, wzbogacono gabinety i powiększono środki naukowe tudzież zapomogi dla studentów niezamożnych. Szczupłe fundusze były powodem, że — jak zaznacza *Warsz. Dziennik* — kierownik instytutu sam wykładał anatomię teoretyczną i praktyczną, histologię, naukę kucia koni i spełniał czynności kancelaryjne. Wszystko to podniosło zakład tak dalece, że komisya specyalna, utworzona z polecenia ministra spraw wewnętrznych, otrzymała od zarządu stadnin skarbowych i władzy wojskowej poświadczenie o pożytecznej działalności wychowańców instytutu, powołanych na stanowiska urzędowe. Wobec tego komisya położyła nacisk na potrzebę niezwłocznego podwyższenia budżetu, albo, jeżeli to pociągnęłoby znacznie wydatki, zaproponowała przeniesienie zakładu do Petersburga. „Wydatki owe, mówi *Warsz. Dziew.*, naturalnie będą znaczne, lecz wcale nie niższe od tych, które pociągnie za sobą projekt powyższy. Przeniesienie do Petersburga znaczy to samo, co zwinięcie w Warszawie, przy obszarze zaś państwa i wysokości usług, jakie hodowli inwentarza oddaje służba weterynaryjna, nie powinno być mowy o zwijaniu instytutów, ale raczej o zwiększaniu ich liczby i o staraniu się o udoskonalenie już istniejących. W Królestwie Polskiem hodowla inwentarza ma w gospodarstwie bardzo doniosłe znaczenie i tędy też za granicę z gubernij wewnętrznych i południowych przechodzą nader znaczne partye bydła; czyż więc w tych warunkach instytut weterynaryjny nie jest tu niezbędnie potrzebny? Przed dwudziestu laty była poruszona myśl zwinięcia instytutu weterynaryjnego w Jurjewie, w końcu jednak wzgląd na rozwój hodowli inwentarza w Liflandyi przeważył i zakład nadal istnieje.“ Pismo jeszcze zwraca uwagę na bardzo ważny fakt, że kliniki instytutowe są zwykle przepełnione, gdyż ludność przyzwyczaiła się już do szukania pomocy weterynaryjnej. Wszystko to aż nadto chyba przekonywająco dowodzi o potrzebie istnienia takiego zakładu w Warszawie. Organ powyższy twierdzi, że środki materyalne, niezbędne dla przekształcenia, raczej udoskonalenia szkoły, nie są tak przerażająco wielkie: najwyżej 30,000 rs. Cóż to znaczy, wobec 1,000,000 rubli, wydanych w ciągu dwu lat ostatnich na jeden tylko okrąg doński, tudzież gubernię astrachańską dla zapobieżenia zawleczeniu epizootyi z Kaukazu? Zwróćmy uwagę, że tego rodzaju walkę z zarazą ułatwia zakład naukowy, który nie tylko dostarcza fachowców, ale jeżeli jest racyonalnie urządzony, oddaje na usługi kraju kliniki i laboratorya, zatem wprowadza oszczędność w organizacyi, przeciwdziałającej epidemii. Przypuszczać należy, że te wszystkie niezmiernie ważne okoliczności będą uwzględnione, że więc instytut warszawski otrzyma środki dla przekształcenia go, zgodnie z potrzebami istotnemi.

Stemplowanie zwierzyny.

Pisma podały wiadomość, iż członkowie Towarzystwa racyonalnego polowania dla ścisłej kontroli nad kłusownikami, radzą właścicielom lasów i dzierżawcom polowań, aby myśliwym swoim wydawali marki ze stemplem dóbr tudzież podpisem na dowód, iż zwierzynę zabito legalnie. Na gruntach właściańskich znaki te mogłyby być wydawane przez urzędy gminne dla dołączenia ich do każdej sztuki zwierzyny, dostawionej na targi. Pomysł istotnie bardzo praktyczny i z tego już względu zasługuje na poparcie, że przynajmniej w części zapobieże rabunkowemu niszczeniu zwierzyny. Nie można atoli łudzić się, iż będzie radykalnym środkiem do zupełnego zniechęcenia szkodników. Potrafią oni ominąć targi, podlegające kontroli i sprzedawać zwierzynę skrycie, chociaż taniej i z większym trudem.

Odezwa.

Towarzystwo pszczelniczo - ogrodnicze w Warszawie, pomimo zaledwie kilkomiesięcznego istnienia, wchodzi coraz bardziej w potrzeby życia i rozumie je wybornie. Pierwszym krokiem były zabiegi w zakresie pośrednictwa między zarobkodawcami a pracownikami. Obecnie rozesłało ono do wszystkich właścicieli pasiek w kraju odezwę z prośbą o odpowiedź na następujące pytania: Nazwa najbliższej stacyi pocztowej i wsi, w której jest pasieka. Kto jest właścicielem tej ostatniej? Ile jest ulów i jakie? Ile funtów miodu średnio wydał każdy ul w roku ubiegłym? Ile funtów wosku wydał każdy ul lub wszystkie razem? Co właściciel pasieki robi z miodem i woskiem? Jeżeli je sprzedaje, to komu i poczemu garniec albo funt (garniec miodu=13 funt.)? W jakiej porze roku zwykle sprzedaje swój produkt? Zebranie tych danych ma posłużyć Towarzystwu jako materyał, na którego podstawie można byłoby stworzyć obraz warunków produkcyi i handlu dla wyrobienia odpowiedniego rynku zbytu. Jak widzimy, nowa instytucya odrazu stanęła na gruncie praktycznym i przyjęła na się zadanie bardzo pożądanego pośrednika. Jeżeli tą drogą dalej pójdzie, można mieć nadzieję, że z czasem stanie się ogniskiem interesów pszczelnictwa krajowego tudzież sterem jego spraw a zarazem wpłynie na racyonalny rozwój gospodarki, wytworzenie zdolnych fachowców i szerszego pola dla ich płodnej pracy. W danym razie chodzi tylko o to, ażeby pszczelarze odpowiedzieli według powyższych pytań. Czy wszyscy to uczynią? Wszelkie kwestyonaryusze nie zawsze nam się udają. Może przemówienie i zabiegi Towarzystwa będą skuteczniejsze.

W DALI.

Piotrków. *Tydzień* miejscowy umieścił przestrogę dla fabrykantów. Wielu z nich sprowadza inżenierów z Belgii. Tymczasem poseł belgijski w Petersburgu zawiadomił rząd rosyjski, że w r. 1893—94 sfałszowano wiele dyplomów, na których pieczęcie niewiele się różnią od prawdziwych.—We wszystkich, przeważnie fabrycznych powiatach gub. piotrkowskiej (będziński, częstochowski, łódzki, brzeziński, łaski), tudzież u pogranicznych kaliskiej, szczególnie zaś w sieradzkim, powszechnie daje się odczuwać brak służby folwarcznej. Zjawisko to bardzo łatwo daje się wytłomaczyć odpływem bezrolnej ludności wiejskiej do ognisk przemysłowych i wogóle do miast sąsiednich. Skutkiem tego wielu ziemian, pomimo podwyższenia płacy, nie może znaleźć robotników.—Projektowane oświetlenie Piotrkowa elektrycznością odłożono na czas nieokreślony, snać wychodząc z tej zasady, że parę szczebli w postępie techniki przeskakiwać nie można. Postanowiono więc iść spokojnie drogą wypróbowaną, mianowicie — wprowadzić gaz. W kontrakcie, zawartym przez miasto z przedsiębiorstwem gazowem istnieje warunek, iż w razie żądania magistratu po latach 15-tu, gaz będzie zamieniony na elektryczność. Natomiast w Częstochowie podobno światło elektryczne ma działać już w miesiącu bieżącym (?). — Magistrat piotrkowski postanowił podwyższyć urzędnikom swoim pensyę o 25%. Jest to już druga podwyżka w ciągu ostatnich lat kilkunastu. Wiele instytucyj prywatnych również czyni to samo. Słusznie wobec tych faktów *Tydzień* przypomina Towarzystwu Kredytowemu, instytucyi bogatej i poważnej, że od roku 1876 etaty urzędników jego dotąd nie uległy żadnej zmianie.

Włocławek. W głowie jednego z prześwietnych rajców miasta naszego zaświtała myśl wyłożenia głównej ulicy — Nowej — brukiem drewnianym. Znalazła ona poparcie; wyznaczono na urzeczywistnienie jej fundusz odpowiedni, powierzono roboty panom Sł. i Fr. i mają one być rozpoczęte w marcu. Kto zna nasze miasto, w którem, nie mówiąc o najmniejszych wygodach, nigdzie nawet porządnego chodnika niema, gdzie mimo kilku lamp naftowych, często żal miewamy do księżyca, że nie świeci, ten bezwarunkowo uzna, iż wykonanie powyższej myśli jest zbytkiem i że fundusz, na ów cel przeznaczony, z większą korzyścią użyć można. Podstawa projektu jest nad wyraz humanitarną; podług bowiem słów projektodawcy: „trzeba dać pracę robotnikom...“ Trzebaż przynajmniej dać taką, któraby nie tylko im, lecz i miastu korzyść przyniosła! *J. T.*

Kijów. Z powodu naruszania umowy przez niektórych członków związku cukrowników, *Kijewlanin* pisze: „Wielki przestrach ogarnia już kijowskich pisarzy sądowych na myśl o syzyfowej pracy prowadzenia korespondencyi sądowej takiego pieniackiego miasta, jakiem się w niedalekiej przyszłości stanie gród naddnieprzański. Biuro syndykatu cukrowniczego od rana do wieczora nic innego nie robi, tylko pisze nieustannie skargi przeciwko swoim członkom, którzy nie

chcą zastosować się do paragrafu zmowy, czyli grzecznie mówiąc „ugody“ i nawet nie myślą wywozić nadwyżki wyprodukowanego cukru za granicę i tem wzbudzają tylko oskomę u swoich rzetelniejszych kolegów.“ — Na wniosek generał-gubernatora miejscowego postanowiono dokonać statystycznych badań gubernii południowo-zachodnich. Podczas obecnych kontraktów odbędzie się narada właścicieli cukrowni i ziemian z obszaru, ograniczonego czworokątem kolei: Chwastów—Koziatyn — Chrystynówka—Szpola. Narada poświęcona będzie sprawie budowy nowych dróg od m. Stawiszcze, jako punktu centralnego. Na zachód zamierzono przeprowadzić linię przez m. Żaszkow, pow. taraszczańskiego, gdzie jest cukrownia Z. Pulczyńskiego, i m. Monastyryszcze, w pow. lipowieckim do przecięcia z linią Chrystynówka—Koziatyn; na północ przez m. Skwirę do przecięcia z linią Koziatyn—Chwastów; na wschód przez m. Taraszczę i cukrownię hr. Branickiego w Siniawie do przecięcia z koleją Chwastowską i na południe przez cukrownie bużańską i olchowiecką, należące do hr. Potockiego, oraz poczapińską.

Petersburg. Na zjeździe hydrotechników przedstawiono do rozpatrzenia kilka spraw ważnych dla Królestwa Polskiego. Inż. Kwieciński położył nacisk na potrzebę w dalszym ciągu robót i dokończenia regulacyi Wisły pod Warszawą. Dzięki tym żądaniom, roboty przyjdą do skutku przy pomocy zasiłków pieniężnych ze skarbu. Kredyt dla badań Czarnej Przemszy wniesiono do planu budżetowego na r. b. Wogóle sprawa regulacyi Wisły i innych rzek w Królestwie była na zjeździe jednym z ważnych przedmiotów, który, o ile wnosić można, nie pójdzie do archiwum.

SPRAWY EKONOMICZNE

SZKOŁY ROLNICZE.

Zwołana w Petersburgu rada gospodarstwa wiejskiego przy ministeryum dóbr państwa i rolnictwa, miała bardzo obszerny i doniosły program, dotyczący warunków bytu setek tysięcy ludności. Zanim znajdziemy sposobność pomówienia o tych naradach i ich rezultatach, śpieszymy zaznaczyć wnioski, dotyczące wykształcenia fachowego w tej dziedzinie pracy. Zdaje się, że to będzie jedna z podstawowych kwestyj, na którą ministeryum zwróciło uwagę i dąży do przeprowadzenia w życiu niezbędnych urządzeń. Do zrobienia jest bardzo wiele wobec tego, że całe państwo, przeważnie rolnicze, o ludności 120-milionowej, posiada zaledwie 72 zakłady naukowe, poświęcone owej gałęzi, w tem wyższych tylko trzy (pod Moskwą, w Nowej Aleksandryi, tudzież wydział gospodarstwa wiejskiego przy szkole politechnicznej w Rydze). Średnich jest dziewięć (pięć skarbowych, cztery prywatne); niższych — 60 wraz ze szkołami ogrodnictwa, sadownictwa, mleczarstwa i uprawy wina. Do tej ostatniej, najliczniejszej kategoryi, uczęszcza uczniów 2,327, czyli mniej więcej jeden na *pół miliona* ludności!

Ministeryum, ze względu na taki smutny stan rzeczy, przyszło do przekonania, iż należy działać jak najszybciej i możliwie w najszerszych granicach; a więc przedewszystkiem konieczne jest przysposobienie znacznej liczby tak zwanych kierowników i techników rolniczych, nadto rozpowszechnienie wiadomości z dziedziny gospodarstwa wogóle śród ludności wiejskiej. Obecne zakłady nietylko swą szczupłą liczbą, ale środkami i programem nie mogą wcale odpowiedzieć powyższym zadaniom. Należy zatem przekształcić stosownie istniejące szkoły wyższe, średnie i niższe.

Ponieważ i w takim razie będzie jeszcze zbyt mało ognisk szerszej wiedzy, więc ministeryum proponuje otworzyć przy uniwersytetach na wydziałach nauk przyrodniczych nowe katedry z dziedziny agronomii, bakteryologii, geognozyi itd. Chcąc przysposobić pracowników pożytecznych z wiedzą średnią, trzeba powiększyć etat szkół odpowiednich, mianowicie powołać nowych specyalistów do wykładów i czuwania nad polami doświadczalnemi. Nadto, zdaniem organu powyższego, zbyteczna jest klasa szósta teoretyczna, natomiast niezbędne rozszerzenie wykładów tych przedmiotów, które stanowią podwaliny wykształcenia fachowego. Należy również surowiej oceniać uzdolnienia kandydatów, wstępujących do tych zakładów. Co się zaś tyczy niższych uczelni, trzeba skrócić termin nauki, wzmocnić wykłady teoretyczne w szkołach pierwszej kategoryi tudzież zajęcia praktyczne — w drugiej.

Po za tem wszystkiem ministeryum proponuje następujące nowe instytucye dla przysposobienia pracowników, zdolnych do zawodu agronomicznego: 1) Krótkie kursy systematyczne w zakresie pojedynczych gałęzi gospodarstwa. 2) Pogadanki publiczne, wygłaszane przez wędrownych specyalistów. 3) Odczyty przystępne i wykłady z doświadczeniami w miastach i po wsiach, zastosowane do codziennych potrzeb gospodarstwa drobnego. 4) Urządzanie szkół ludowych z wykładem przedmiotów, niezbędnych dla racyonalnego prowadzenia gospodarki. 5) Tworzenie oddziałów gospodarstwa wiejskiego przy szkołach ludowych albo klas dodatkowych z praktyką gospodarczą. Dla wprowadzenia takich urządzeń niezbędna jest znaczna liczba uzdolnionych fachowców, którzy mogliby ofiarować swoją pracę dla nauczania ludności. Otóż ministeryum proponuje w tym celu następujące środki: 1) Utworzyć przynajmniej przy dwóch szkołach rolniczych kursy pedagogiczne dla przysposobienia nauczycieli. 2) Ustanowić oddzielne egzaminy dla kandydatów, którzy chcieliby poświęcić się temu zawodowi. Personel nauczycielski powinien wszakże mieć swój ster i kontrolę, do czego znowu potrzebne są następujące środki: posady inspektorów, czy rewizorów zakładów naukowych rolniczych; powierzenie nadzoru nad niektórymi zakładami agronomom rządowym; stworzenie w miastach gubernialnych rad szkolnych w zakresie wykształcenia rolniczego. Do składu tych ostatnich powinni należeć przedstawiciele Towarzystw rolniczych, ziemstw i innych instytucyj, utrzymujących swoich stypendystów.

Jak widzimy z tego programu, sprawa wykształcenia średniego i niższego najszczegółowiej jest traktowana. Punkty wymienione wskazują, że sfery ministeryalne mają na względzie uprzystępnienie nauki racyonalnego rolnictwa masom ludności wiejskiej i jakkolwiek plan z góry nakreślony nie wyczerpuje wszystkich środków niezbędnych, można jednak przewidywać, że w miarę wprowadzania w czyn szczegółów programu, będą się odsłaniać stopniowo różne potrzeby, które należy uwzględniać. Zatem wnioski, podane do rozpatrzenia radzie, uważamy jako ogólny zarys działalności, która dopiero w praktyce może być należycie rozwiniętą. W pewnych szczegółach uderza nadmiar zadań z dziedziny czysto kancelaryjnej, która, jak dowiodło doświadczenie, nie prowadzi nigdy do pożądanego celu, a przynajmniej nakreśla drogi krzywe, utrudniające rozwój i uskutecznianie danych planów. Dziś wyższe sfery administracyjne zwróciły już uwagę na tę metodę wadliwą, jak np. w organizacyi Banku włościańskiego, i starają się znieść, a przynajmniej uprościć działalność kancelaryjną. Tem mniej jest ona pożądaną tam, gdzie chodzi o bezpośrednie stykanie się z życiem codziennem, o możliwie najprostsze, najpraktyczniejsze drogi. Miejmy więc nadzieję, że nie program z góry nakreślony, lecz istotne potrzeby życia będą miały przewagę i że ramki, w które projekt włożono, dadzą się rozciągnąć, skoro w nie wejdzie szeroki obraz bytu codziennego tudzież jego warunków i wymagań.

W przyszłości, zapewne niedalekiej, gdy plan działań teoretycznych zetknie się już z życiem, rozpatrzymy ten doniosły przedmiot uważniej i szczegółowiej. Dziś, zaznaczając wejście jego do sfer ministeryalnych i poważne traktowanie na posiedzeniach rady, możemy tylko zanotować fakt nadejścia nowego okresu, który wróży dla rolnictwa pożądane warunki rozwoju i silną opiekę. To tylko jeszcze nadmienić musimy, że wszelkie zabiegi prywatne około rozwoju szkolnictwa w zakresie gospodarki rolnej, tudzież pomocniczych instytucyj naukowych, pracowni, doświadczalni, znajdą zawsze poparcie sfer ministeryalnych. Powinno to więc być bodźcem dla tych, którzy mogą przynieść pożytek krajowi. *Powinno*, ale czy będzie?.. Ile razy potrącamy o sprawy szkolnictwa fachowego, zawsze przychodzi nam na myśl nieszczęśliwa szkoła gorzelnictwa, którą dla własnego dobra mieli założyć w Warszawie przedstawiciele produkcyi spirytusu. Przypominamy również fakt świeży: mocne postanowienie przedsięwzięcia starań o podobny zakład naukowy dla dostarczenia fachowców z zakresu młynarstwa. Kiedy jednak wytwórcy mąki z południa i wschodu na zjeździe w Petersburgu bez namysłu ofiarowali ***osiemdziesiąt tysięcy*** rubli na dwie szkoły specyalne: w Odesie i nad Wołgą, przedstawiciele z Królestwa uparcie milczeli, może z podziwu lub braku rękojmi względem solidarności i poczucia własnego interesu producentów z nad Wisły...

P.

MUZEUM RZEMIEŚLNICZE.

Są to jeszcze tak niedawne dzieje, że chyba każdy, kogo obchodzi społeczne i materyalne życie ogółu, pamięta owe zabiegi inicyatorów, rozbijające się przez długi czas o obojętność powszechną. Niewielu zdawało sobie sprawę z potrzeby stworzenia źródła siły i wiedzy technicznej dla rzemieślników; jeszcze mniej było wierzących w jego powodzenie. I może ta garstka, ożywiona zadaniem, długo jeszcze kołatałaby bezskutecznie i w końcu zniechęciłaby się zupełnie, gdyby nie hojny dar p. Hipolita Wawelberga w postaci 25,000 rs. Dzięki tej ofierze, Muzeum zaczęło istnieć od r. 1892. Powstała hypoteka społeczna, na której można było już umieszczać datki dobroczynne, przekonano się, że to *coś* już żyje, a więc należy nowe życie podtrzymać. I oto po trzech latach, według najświeższego sprawozdania, majątek Muzeum wynosi już 40,566 rs. Oprócz tego pokryto wszelkie koszty utrzymania wraz z „salami kopii.“ Trzeba przyznać, że o ile środki pozwalają, instytucya ta nie wegetuje w bezpłodnem istnieniu, jak wiele innych, lecz rusza się i robi co może. Dla ułatwienia dopływu z zakresu wiedzy i udoskonaleń technicznych, zapisało się ono na liście członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Petersburgu i „Union centrale des arts decoratifs“ w Paryżu.

Do ważnych zadań należy zaliczyć urządzenie sal kopiowania, do których uczęszcza młodzież rzemieślnicza i — jak głosi sprawozdanie — nawet „bez żadnej znajomości rysunku“ dochodzi do tego, że rysuje ornamenty, głowy i całe figury z gipsu, a w dziale technicznym wszelkie przekroje robót stolarskich, części maszyn

tudzież planów i elewacyj architektonicznych, w sposób pozwalający wykonywać roboty podług tych rysunków. Kobiety również mają wstęp i chętnie korzystają z ułatwień. Obecnie 15 uczenic poświęca się rysunkowi technicznemu; niektóre zaś zrobiły już znaczne postępy, mogą biegle wykonywać plany i przekroje. Rozpoczynają od rysowania figur płaskich, następnie przechodzą do brył solidometrycznych, ich przecięć, wreszcie do modelów stolarskich i planów budowli. Uczniom dawano wzory i modele, odpowiednie ich specyalności.

W listopadzie roku ubiegłego otwarto oddział sztuki stosowanej dla kobiet, w którym pod kierunkiem p. Mirosławskiej udzielane są wskazówki malowania na tkaninach, kości, skórze, porcelanie, szkle, marmurze, drzewie, tudzież kolorowania fotografij, wypalania na drzewie i wytłaczania na skórze. Gałąź tę uprawiało dwanaście uczenic. Rzemieślnicy, dla których gruntowna znajomość modelowania jest bardzo potrzebna, głównie zaś dla stolarzów, ślusarzów, rzeźbiarzów, snycerzów, mieli wstęp dla kopiowania ornamentów, a raczej modelowania ich w wosku. Czas korzystania z modelów podzielono na dni i godziny, w ten sposób, ażeby mogli dogodnie uczęszczać rzemieślnicy różnych fachów. Sale obejmują następujące działy: 1) rysunków ręcznych, 2) technicznych, 3) ornamentów, 4) dekoracyjny, 5) rysunku maszyn, 6) rzeźbiarstwa czyli modelowania, 7) sztuki stosowanej. Ogółem w r. z. uczęszczało do sal 305 osób, tj. w porównaniu z r. 1893 o 70 więcej. Podług specyalności korzystali z rysunków: ślusarze, malarze pokojowi, rzeźbiarze i snycerze, mechanicy, rysownicy, stolarze, litografi, grawerzy, tokarze żelaza, jubilerzy, cyzelerowie, ogrodnicy, bronzownicy, tapicerzy, hafciarze, fotografowie i inni.

Zarząd Muzeum ciągle się troszczy o powiększenie księgozbioru drogą zakupu lub ofiar prywatnych. Dziś biblioteka posiada dzieł 476 w 679 tomach. Cyfra to jeszcze skromna, przytem nie wiemy, ile z książek darowanych istotnie jest pożytecznych, nieprzestarzałych. Dla rozwoju sztuki dekoracyjnej i stosowanej, postanowiono dostarczać rzemieślnikom wzorów do naśladowania. W tym celu ma być wydane „Album Muzeum rzemiosł,“ które nie tylko samo przez się może być pożyteczne, ale przez zamianę z innemi tego rodzaju wydawnictwami wzbogaci bibliotekę.

Najtrudniej idzie z gromadzeniem okazów różnych. Właściciele przedmiotów, szczególnie starożytnych i godnych uwagi pod względem artystycznym, cenią je wysoko, lub wcale nie chcą ich się pozbywać. Otóż zarząd wpadł na bardzo praktyczny sposób: postanowił urządzić wystawę umeblowań stylowych, która będzie miała znaczenie pedagogiczne. Znajdą się tam działy: gotycko-renesansowy (polsko-gdański, włoski), renesansowy francuski z różnych epok. Ale roboty stolarskie i tapicerskie nie dają całkowitego obrazu urządzeń mieszkalnych, więc postanowiono jeszcze wprowadzić na wystawę najrozmaitsze przedmioty sztuki stosowanej (tkaniny, wyroby z metalów, kości itd.). Wystawa taka, zdaniem naszem, przyniesie istotny pożytek, jeżeli będzie się powtarzać peryodycznie. Zapowiedziano ją na rok bieżący; miejmy nadzieję, że to początek zwykle najtrudniejszy. Rożni kolekcyoniści i właściciele sprzętów tudzież przedmiotów godnych uwagi, zapewne nie odmówią ich dla użytku publicznego w tej formie, o ile gratom nie zaprzedali swej duszy i nie upatrzyli w nich celu życia.

Pozostaje jeszcze jeden szczegół, zasługujący na uznanie działalności Muzeum: Urządza ono pogadanki i odczyty dwojakiej kategoryi: wyłącznie dla rzemieślników w przedmiotach, dotyczących sztuki stosowanej tudzież w zakresie treści ogólno-kształcącej. Cena jest bardzo przystępna: 10 kop. od osoby.

Odrębną grupę stanowią odczyty dla „szerszej publiczności“ za opłatą 25—50 kop. Pogadanki pierwszej kategoryi już się rozpoczęły, pracę zaś swoją i wiedzę ofiarowali pp.: prof. Milicer („Nafta“), Stetkiewicz („O wytwarzaniu światła“), Znatowicz („Historya zapałek“), Kramsztyk („O cieple“), Słowikowski („Pompy i wodociągi“), dr. Tchórznicki („O kąpielach ludowych“), B. Łącki („Igła i maszyna do szycia“), Ślósarski („O drzewach krajowych“), Szyller („Snycerstwo na drzewie“). W drugiej kategoryi: pp. Wład. Kisłański („O sztuce, stosowanej do przemysłu“), prof. Gerson („Stroje i style. Styl tkania“), Goldberg („Umeblowanie mieszkań“), Boguski („O analizie widmowej“), Lebiedziński („Fotografia“), Znatowicz („Co można zrobić z węgla“).

Ponieważ wykłady takie wymagają pewnych urządzeń, doświadczeń, światła elektrycznego, co pociąga za sobą koszt, więc postarano się już o środki odpowiednie na ten cel, wyciśnięte z miłosierdzia publicznego. Pogadanki fachowe dla rzemieślników, o ile będą traktowane z zachowaniem pewnego programu, dającego konieczną sumę wiedzy słuchaczom, mogą przynieść pożytek. Przedmioty wszakże, które prelegenci obrali sobie obecnie, chociaż bardzo ważne i niezbędne, nie obejmują jeszcze całego kursu wiadomości, który powinien nabyć rzemieślnik. Trudno np. przypuścić, ażeby snycerstwo na drzewie dało się całkowicie zamknąć w jednej luźnej pogadance, podczas gdy oprócz samych zasad i ciekawych wzorów, robi ono ciągłe postępy techniczne i stanowi osobną gałąź rzemiosła, spokrewnionego ze sztuką. Należałoby więc każdemu odłamowi rękodzielnictwa poświęcić szereg takich wykładów; potrzeba nie poprzestając na pismach specyalnych, abonowanych dla czytelników Muzeum, zaznajamiać ich systematycznie z postępem wszelkich rzemiosł, z rozwojem lub zmianą gustu śród ogółu, spożywającego dane wyroby. Będzie to jeden ze środków *podtrzymania* tej formy produkcyi, która już w wielu działach upadła przed siłą maszyny.

Nie nowy to i nie dzisiaj spostrzeżony fakt. Rzemiosło jest skazane na powolną zagładę, ale ma ono dość rozległe i zaniedbane pola, na które maszyna nie prędko jeszcze wkroczy. Należy więc je uprawiać, a przedewszystkiem wartość wyrobów podnosić przez wydoskonalenie fachowców i środków technicznych. Nasi rutyniści na wskazanie im potęgi wielkiej produkcyi zawsze mają jedną odpowiedź: wyroby fabryczne nigdy nie są tak trwałe i rzetelnie odrobione, jak w warsztatach rzemieślniczych; albo: artysta-rzemieślnik potrzebny jest także do wykończenia w ręku wielu przedmiotów, wychodzących z fabryki. Prawdzie tych słów zaprzeczyć nie można. Ale ci panowie zapominają, że w dzisiejszych czasach nie „rzetelne odrobienie“ ale taniość, częstokroć połączona z elegancyą, jest źródłem wielkiego popytu. Wyroby artystycznie wykonane przez rzemieślnika, nabywają tylko zamożniejsi, a więc dający znaczną mniejszość spożywców. Gdzie wyrobem np. kłódek lub zamków zajmuje się fabryka i rzemieślnik, tam pierwsza musi stanowczo pobić drugiego tylko wielkimi środkami i taniością produkcyi. Nasi rzemieślnicy powinni zatem skierować wszelkie usiłowania ku rozwojowi i podniesieniu tych gałęzi, które są wolne od powyższego współzawodnika. Ponieważ u nas w ostatnich czasach sztuka coraz większe znajduje zastosowanie w rzemiosłach i może liczyć na powodzenie, należy więc te działy wyrobów ciągle udoskonalać pod względem artystycznym i technicznym, śledzić bezustannie postępy nie tylko na drodze *wykonywania* przedmiotów, ale sposobów i środków, do tego używanych. O wszelkich zatem narzędziach, motorach ulepszonych, nowych zastosowaniach chemii, fizyki, technologii itd., rzemieślnik powinien wiedzieć i mieć możność wypróbowania owych środków w praktyce.

Ułatwienia i pośrednictwo w tej mierze należy właśnie do zadań Muzeum. Wobec dość pomyślnych rezultatów działalności dotychczasowej, można mieć nadzieję, że instytucya ta będzie rozszerzać swój program w powyższych zakresach; że z czasem przyjdzie z pomocą także rzemiosłu prowincyonalnemu, które uprawia tandetę i przytem—przestarzałą, nie mającą popytu nawet w kramikach małomiasteczkowych. W interesie atoli samych rzemieślników powinno być popieranie materyalne tak ważnej instytucyi. Jest śród nich sporo zamożnych, a jednak, rzecz dziwna, dotychczas największe ofiary na ten cel złożyli ludzie nie mający nic wspólnego z tą dziedziną pracy.

Dr.

— We Lwowie zawiązuje się krajowa spółka melioracyjna dla przedsiębrania drenowań, eksploatowania torfowisk, osuszania bagien itd. Na czele stanęli posłowie i wybitni finansiści.

— Ministeryum skarbu przystąpiło do wstępnych układów w sprawie zawarcia nowego traktatu handlowego z Grecyą.

O PRAWDĘ.

I.

Jak brzydko bronią piękna.

Ponieważ sprawiedliwość jest najbliższym potomkiem prawdy, sądzę że organ, pragnący stać w jej obronie, pozwoli zainterpelować tu niektórych rzeczników „wiedzy,“ a więc i „prawdy,“ tych mianowicie, co z taką zaciętością ciskają gromy oburzenia na krytyków „Szału“ zmarłego Podkowińskiego. Nic w tem dziwnego, że ze źródła bezmyślnych, bo niczem nie uzasadnionych pochwał, nawet apoteozy owego obrazu, mógł z pojawieniem się czyjejkolwiek krytyki wytrysnąć stek wymyślań na nierozumiejącą piękna publiczność, na krytyków nieumiejących ocenić nowych prądów w sztuce. Kto wychwalał nowość obrazu, podnosząc jego oryginalność i śmiałość pomysłu, nietylko nie mogąc tych pochwał umotywować, lecz nadto nie zdając wcale sobie sprawy ze stanowiska, jakie dany utwór w szeregu dzieł sztuki zajmuje, ten naturalnie z łatwością mógł ciskać garściami oszczerstwa w oczy, które śmiały nie widzieć okrzyczanego przez nich piękna. Drwiono więc poprostu z krytyków, wyśmiewano z zajadłością wszystkich, komu się tylko „Szał“ nie podobał. Co więcej, z powodu odmiennych gustów estetycznych, czy poglądów niewdzięcznej publiczności, przypisano jej brak wszelkiego smaku i pojmowania piękna. Ten i ów, przybrany w togę kapłana sztuki, ogłaszał *urbi et orbi*, że świątynia piękna może być przystępną tylko dla wybranych, tj. że człowiek pospolity, nie przestudyowawszy tajemnic sztuki malarskiej, nie znający się np. na synchronii, nie może posiadać ani rzetelnego poczucia piękna, ani prawa, czy racyi do jego oceny. Obrońcy nietykalności utworów pędzla zapominają, czy nie wiedzą, że technika sztuki, a jej owoc do różnych dziedzin należą; o ile pierwsza jest rzeczą wytrawnych znawców i specyalistów, o tyle ostatni może być strawą jaknajszerszego ogółu oraz przedmiotem oceny zdrowych zmysłów każdego. Wynika to wprost z zadania sztuki, której celem nie jest eksperymentowanie w pracowni artysty, lecz udzielanie ludziom wrażeń za pośrednictwem najbardziej zrozumiałych symbolów, jak dźwięk i barwy. Jeżeli dzieła twórczości artystycznej mają podlegać kompetencyi tylko artystów, to się rozmijają ze swem zadaniem; w takim razie niech szanowny areopag malarzy we własnym klubie wzajemnej adoracyi wywiesi swoje obrazy

i u wrót swojej świątyni wypisze: wstęp dla niemalarzy wzbroniony. Wmawiać bowiem całemu światu, że się na pięknie nie zna i do jego oceny prawa nie posiada, jednocześnie zaś żądać od publiczności poparcia, to jest co najmniej nie pięknie, to zakrawa na reklamowanie się kupca na to, że *jeder Fuchs lobt sein Fell*.

Jeżeli obrońcy „sztuki dla sztuki," wielbiciele tolerancyi wszelkich kierunków artystycznych z zawodu nie szczędzili epitetów dla odstraszenia nieprzychylnych dla siebie opinij, temu się nie dziwimy; brak nam bowiem jeszcze tej dojrzałości umysłowej i moralnej, która wyróżnia krytykę od napaści, wytknięcie błędów w rozumowaniu od szkalowania ludzi; ale smutnem jest, że żaden, o ile mi wiadomo, z obrońców „wyzwolonej" sztuki nie próbował nawet zanalizować przeciwnej krytyki, lub uzasadnić teoretycznie własnych poglądów. Nawet p. Cezary Jellenta, od którego możnaby oczekiwać poważnego traktowania rzeczy, wylał parę szpalt żółci, zaprawionej zgryźliwymi i ubliżającymi frazesami. Artykuł jego w Nr. 4 *Prawdy* pt. „Z powodu konkursu" miał być widocznie obroną kierunku, którego wzorem był „Szał" Podkowińskiego, w istocie jednak jest zjadliwą szykaną tych, komu się ów obraz nie podobał. Każdy przyzna słuszność autorowi, że bezwzględne napaści na talent zmarłego Podkowińskiego nie sprzyjały rozwojowi twórczości, że młode siły artystyczne potrzebują zachęty i poparcia moralnego, że wreszcie „szpilkowanie" docinkami mogło niedobrze na stan zdrowia artysty podziałać; lecz p. Jellenta tak się uniósł w chłostaniu krytyków, że im poprostu przypisał przyczynę zgonu malarza. Jest to tylko dowodem, jak dalece rozwaga autora nad gniewem panować nie umie. W tem rozjątrzeniu nerwowem pozwolił sobie p. Jellenta nazwać mój artykuł p. n. „Nowy objaw zwyrodnienia w sztuce oraz istotne jej zadanie" (*Aten*, Lip. 94 r.) — „podobnym do wypracowań młodych kleryków." Tyle tylko słów napisał w obronie swego zdania wobec krytyk spółczesnych kierunków w sztuce. Czy to ten frazes, to upodobnienie trafne a głębokie ma zastąpić analizę wywodów przeciwnika? Kto zamiast poważnie rozbierać przedmiot, ubliżającemi wojuje wyrażeniami, ten nie pojmuje zadań krytyki, ten nie jest godnym obrońcą przekonań.

P. Jellenta wymaga zupełnej tolerancyi dla wszystkich kierunków sztuki; widocznem to jest z zacytowanego artykułu, a jeszcze więcej z wykładów estetyki autora w *Przeglądzie pedagogicznym* (Nr. 2, 3, 1895). Jeżeli wymaganie to popiera autor nieograniczenie szerokiem pojęciem piękna („wszystko lub prawie wszystko może być estetycznem, albo też jest niem w pewnych warunkach" str 14), to rzecz naturalna, że wszelki probierz piękna, oczyszczający galeryę sztuki od jej przeżytych (choćby odmładzanych) okazów, uznania autora pozyskać nie może. Nie idzie wszakże za tem, aby rozumnie i sprawiedliwie było znieważać czyjś ideał piękna. Jeżeli p. Jellenta żąda bezwzględnej tolerancyi dla sztuki, to zgodzić się z tem powinien, że każdy człowiek ma prawo wymagać tolerancyi dla swoich przekonań, a tem bardziej ideałów piękna i dobra.

Jeżeli obrona nowych kierunków w sztuce spółczesnej polegać będzie nadal na takiej argumentacyi, jaką p. Jellenta się posługuje, to można mieć nadzieję, że wszelkie utwory artystów, piękne tylko oryginalnością lub śmiałością fantazyi, oraz piękne dla grupy ludzi, czy „szkoły," ustąpią prędzej miejsca dziełom takiej sztuki, której piękno z natury swej do coraz liczniejszych mas przemawiać będzie. Słaba to bowiem idea i kruchy ideał piękna, jeżeli dla jego podtrzymania trzeba aż połajanką krytyków, jak „marna zgraja" (cyt. art. p. Jellenty), zjednywać zwolenników. Nie tylko używanie tak wstrętnego oręża, jak wymysły i znieważanie godności ludzkiej, świadczy o słabości obrony *wszelkiego* piękna; wymowniejszym dowodem niemocy duchowej apostołów wolności sztuki jest ich jednostronność w teoryi oraz szablonowość w dowodzeniach. Może będziemy mieli kiedy sposobność obszerniej o tym przedmiocie pomówić, obecnie nadmienimy tylko, że jednostronność ta polega głównie na poszukiwaniu piękna w historycznym nie rozwoju, ale wykazie dzieł sztuki, z pominięciem jej genezy psychologicznej i psychologiczno-społecznej. Zakapturzonym w swojem posłannictwie kapłanom sztuki nie przychodzi nawet do głowy poszukać źródeł piękna po za natchnieniem artysty. Jego kreacye poczytują oni poprostu za owoc geniuszu, któremu wolno jest bujać w krainie fantazyi i wolno tworzyć, co mu się żywnie podoba. Że twórczość w ogólności jest jedną ze zróżniczkowanych funkcyi organizmu, taką czynnością, która się tylko gwoli i w miarę rozwoju społecznego rozwija; że postęp twórczości artystycznej równoległym i ściśle zależnym jest od rozwoju innych funkcyi zbiorowego życia, że sztuka, jako czynność społecznego organizmu, podobne jak i inne czynności wypełnia zadanie, że ostatecznie wraz ze wszystkimi życia przejawami ku jednemu zdąża celowi, że nakoniec cel ten od niczyjego pomysłu nie zależy, lecz drogą powolnej ewolucyi z samego życia społecznego się wyłania, o tem wszystkiem zdają się kapłani nietykalnej sztuki nie wiedzieć. Błąkają się więc w bezmiarze utworów, które gdziekolwiekbądź lub kiedykolwiek za piękne poczytywano i mniemają, iż zasad piękna tak samo określić nie można, jak zasad etyki „niezależnej" (prawdopodobnie—naukowej). Kto się nie zajmował teoryą moralności, ten, samo przez się, nie wie, czy i jakie ma ona zasady, lecz kto chce nauczać piękna, tenby powinien był w pomocniczych rozejrzeć się umiejętnościach i poszukać bardziej trwałych jego zasad, niż te, co sobie stylową szermierką torują drogę.

S. Karpowicz.

II.

Naszym spirytystom nie dość było obelżywych anonimów! Zawlekli oni swój zatarg ze mną aż na stronice paryzkiego *Revue spirite*. P. W. Chłopicki posłał tam sprawozdanie o seansach z Samborem i naturalnie, z powodu moich poglądów, nie omieszkał obrzucić błotem niedowiarków. Niefortunny na bruku warszawskim mistrz nowej nauki ostrzega swoich współwyznawców francuskich przed niecnymi literatami, którzy wciskają się na posiedzenia i potem w prasie okłamują publiczność. Udają niedowiarków, wówczas gdy w głębi serca są przekonani o autentyczności zjawisk! Nie obchodzi mię, co mówi p. W. Chłopicki o cudach w jego mieszkaniu. Pragnąłbym jedynie sprostować parę punktów, dotyczących mojej osoby. Zaznaczywszy moją z nim polemikę i ostrzegłszy współwyznawców francuskich przed publicystami, powołuje się na moje świadectwo—jak najniewłaściwiej, bo przekręca zdania z artykułów, drukowanych w *Prawdzie*. Gdyby nie to, że nie chcę nużyć czytelników wznawianiem przebrzmiałej sprawy, mógłbym napisać cały artykuł, jak prawda błąka się bezdomna po świecie i w jaki sposób pp. Chłopiccy reprezentują naukę mistyczną i obserwowane zjawiska. Trudno mi znaleźć wyraz odpowiedni, któryby w sposób grzeczny ochrzcił postępowanie zdegradowanego arcykapłana religii spirytystycznej. Już w *Prawdzie* wspominałem z lekka o tem, że bywałem na seansach w roli osoby prywatnej. Uczyniłem to, ażeby komuś dać do zrozumienia, że potrafię w razie potrzeby nakazać oględność wszelkim językom niesfornym. Nie pomogło! W *Rèvue spirite* figuruję więc znowu jako delegat *Prawdy*! Sądzę, że redakcya nic by nie miała, gdybym w takim charakterze uczestniczył na seansach. Ale nigdy miana tego nie przybierałem i nie pozwalałem nadawać sobie. Imiennie więc i publicznie będę upraszał p. W. Chłopickiego o zdjęcie ze mnie tej etykiety—może ta pomyłka otacza jego osobę większą aureolą, ale co do mnie protestuję przeciwko takiemu korzystaniu z mojego nazwiska.

L. Krzywicki.

PRASA RUSKA.

Now. Wremia, mówiąc o studentach uniwersytetu warszawskiego, skazanych za demonstracyę kwietniową (Kilińskiego), pisze:

„Wiadomo, że z łaski Monarszej część owych demonstrantów wróciła do kraju i starała się dostać do uniwersytetu warszawskiego. Oczywiście, zabiegi te pozostały bezowocnymi. Wówczas to rzucili się oni do uniwersytetu lwowskiego i krakowskiego, w tem przekonaniu, że jako cierpiący za ojczyznę, będą tam przyjęci z otwartemi rękami. Jakież było zdumienie i konsternacya, gdy odpowiedziano im odmową zupełną i dodano: „Przyjmujemy tych studentów, co się uczą, nie zaś tych, co się zaprzątają polityką i demonstracyami." *Czas* pochwalając takie zachowanie się administracyi uniwersyteckiej, dodaje od siebie: „Przyjmujemy uczniów—co się uczą; żołnierzy—co walczą: księży—którzy się modlą itd., lecz nie potrzebujemy studentów co się nie uczą, ale politykują, nie potrzebujemy agitatorów, co podburzają i fermentują." Z okazyi tego wystąpienia *Czasu*, *Gazeta narodowa* również słusznie zaznacza, że historya Kilińskiego, tak smutnie zakończona w Warszawie, jest następstwem wszystkich tych demonstracyj i podburzeń, które przedtem miały miejsce w Polsce austryackiej.

„Tak—panowie, to zupełnie słuszne. Nieszczęsna młodzież warszawska—to wasze posłuszne dzieci. Za kordonem wolno wam pleść, co się podoba, od młodzieży zaś naszej wymagacie ślepego posłuszeństwa. Ona słucha, wbrew przekonaniom demonstruje, ginie, a wy ją odpychacie? Uczniów demonstrantów i rewolucyonistów nie potrzeba nigdzie. Nia pobudzajcież ich do buntu i nie wymagajcie od nich demonstracyj."

KRONIKA.

Doniesienia urzędowe. Postanowiono przyłączyć do okręgu wojennego warszawskiego: pow. szczuczyński gub. łomżyńskiej, pow. sokolski, białostocki, wołkowyski, bielski, brzeski, prużański i kobryński gub. grodzieńskiej, włodzimierski i kowelski gub. wołyńskiej. (*Zbiór praw*).

Z uniwersytetu. W warszawskim Klubie ruskim odbyła się uczta dla pp. Włodzimierza Brodowskiego, dożywotniego sekretarza Towarzystwa lekarskiego i Ernesta Trautvettera z powodu przyznania im tytułu profesorów honorowych.

Sprawy społeczne. Poruszono sprawę zmiany systemu paszportowego w Królestwie Polskiem, według przepisów ogólnych.

— Według sprawozdania rosyjskiego konsula generalnego w New-Yorku o ruchu emigracyjnym za rok 1894, do Stanów Zjednoczonych przybyło 167,669 wychodźców. Z tej ogólnej liczby na Rosyę przypadło 20,386 osób. Emigranci przywieźli ogółem 3,050,948 dolarów. Mężczyzn było 99,031, kobiet 68,638. Nie przyjęto 1,516 osób, z tych 798 zupełnie bez środków, 2 chorych, 3 skazanych sądownie, 713 robotników kontraktowych. Wśród przybyłych 25,513 było niepiśmiennych, 81,887 podczas przejazdu miało mniej, niż 30 dolarów. Rosya pod względem liczby emigrantów zajmuje czwarte miejsce (dawniej trzecie).

Koleje i komunikacye. Na zjeździe kolejowym postanowiono od lata r. b. wprowadzić na wszystkich kolejach pociągi z IV-tą klasą nietylko dla robotników, lecz dla wszystkich pasażerów, którzy z tej komunikacyi zechcą skorzystać. Pociągi takie mają kursować na wszystkich bez wyjątku kolejach w miarę rzeczywistej potrzeby, lecz nie mniej, niż raz na dobę i winny łączyć się z innymi w punktach węzłowych. Wobec braku specyalnych wagonów, tymczasowo kursować będą towarowe, odpowiednio przerobione. Oprócz tego uchwalono wprowadzić na wszystkich kolejach pociągi pospieszne do przewozu bagażów pasażerskich oraz łatwo psujących się produktów spożywczych. Pociągi takie winny kursować przynajmniej raz na dobę z szybkością 250 w. na 24 godziny.

— Starszy kontroler kolei Południowo-zachodnich, Galanin, otrzymał posadę pomocnika głównego kontrolera kolei Wiedeńskiej.

— Według *Petersb. list.*, zamiast pociągów letnich w okolicach miast wielkich, będą zniżone taryfy podmiejskie, stale obowiązujące.

Petersb. Wied. piszą, iż podobno za przykładem kolei zagranicznych na niektórych drogach z małym ruchem pasażerskim wprowadzone będą specyalne welocypedy kolejowe systemu K. Fossa do przewożenia

spóźnionych podróżnych pomiędzy najbliższemi stacyami na przestrzeni 20—40 wiorst. Welocyped składa się z dwóch rowerów, połączonych razem i posuwających się po oddzielnych szynach. Maszyna poruszana jest przez dwóch ludzi i ma miejsce dla dwóch pasażerów. Waży tylko 3 p. 16 f. i ma wielką wyższość nad cięższemi drezynami. Może ona oddawać różne usługi służbie kolejowej.

— *Świet* donosi, że bilety ulgowe z ustępstwem 30% (już według nowej taryfy) dla przejazdu z ważniejszych miast w Rosyi do krajowych miejscowości leczniczych, będą przywrócone w sezonie letnim.

Szkoły. Najwyżej rozkazano utworzyć w okręgu naukowym ryskim pięć kursów pedagogicznych dodatkowych dla nauczycieli, przeznaczonych do okręgów włościańskich luterańskich i katolickich.

Sądy. Rozstrzygnięto w Warszawie wielce charakterystyczną sprawę. Bezdzietni małżonkowie przyjęli niemowlę obce na własność, po zrzeczeniu się pretensyi matki raz na zawsze. Gdy się rzecz wyjaśniła przypadkowo po śmierci dziecka, akty urodzenia i zejścia, jako nielegalne przesłano do prokuratora, przybranego zaś ojca—Fedorowicza pociągnięto do odpowiedzialności. Sąd okręgowy skazał „winnego na ośm miesięcy więzienia, z pozbawieniem praw stanu.“ Skazany zaapelował z prośbą o uwolnienie, obrońca zaś jego w izbie sądowej dowodził, że serca ludzkie musiałyby się odwrócić od przybytków sądowych, gdyby uczciwych tak srodze karano za przygarnięcie dzieci, które zginęłyby w nędzy i poniewierce. Rodzice przybrani popełnili błąd wobec suchej litery prawa, ale działali w interesach najczystszych. Izba sądowa uniewinniła Fedorowicza.'

Zdrowie publiczne. We Lwowie i Galicyi wschodniej panuje epidemicznie tyfus plamisty.

Gospodarka miejska. Jeżeli mamy wierzyć wiadomości *Kurjera warsz.*, przeniesienie szpitala Dzieciątka Jezus na Folwark świętokrzyski, odbędzie się już stanowczo i to przy pomocy wyłącznie środków miejscowych. Sumę w rozmiarach, proponowanych przez kapitalistów francuskich, magistrat sam wypłaci radzie miejskiej dobroczynności publicznej, która podejmuje się budowy nowego zakładu.

Wystawy i zjazdy. Na marzec zapowiedziano w Charkowie zjazd młynarzy z gub. środkowych.

— Na doroczną wystawę sztuk pięknych w Monachium od 1 czerwca do końca października r. b. składać można deklaracye najpóźniej do 15 kwietnia, nadsyłać zaś dzieła sztuki od 10 kwietnia do 1 maja.

— Uznano za właściwe, ażeby pozwolenie na zjazdy rolnicze w miastach gubernialnych i powiatowych były wydawane przez gubernatorów, bez osobnych starań za każdym razem. Zjazdy mogą być zwoływane nie tylko przez rząd, ziemstwa, lub towarzystwa rolnicze, ale w niektórych wypadkach nawet za zgodą kilku ziemian w danej okolicy.

— W Krakowie odbędzie się zjazd chirurgów w lipcu r. b.

— W Warszawie odbędzie się zjazd przedstawicieli telegrafów kolejowych w kwietniu r. b.

— Otwarto w Warszawie wystawę obrazów Podkowińskiego.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. P. Dziękujemy Panu uprzejmie za wskazanie błędu w artykule o *argonie*, gdzie do pierwiastków powietrza zaliczono wodór. Błąd ten powstał ze skrócenia rękopisu i niedopatrzenia w druku jednego zbytecznego wyrazu. Co do formuły końcowej, zapewne, powietrze jako mieszanina formułą chemiczną wyrażone być nie może, sprawozdawca nasz jednak użył tego środka dla uzmysłowienia części składowych, co uczyniły również pisma angielskie, z których czerpał.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 10 Февраля 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.